

BIULETYN SURWIWALOWY



NR 13/2021
STYCZEŃ
2021

CZASOPISMO STOWARZYSZENIA POLSKA SZKOŁA SURWIWAŁU GRUPA REGIONALNA MAZOWIA

**SURVIVAL
W MIEŚCIE**

**WYWIAD
SELCO
BEGOVIC**

**WODA
ŻYWNOSĆ
W MIEŚCIE**

**Wisport SilverFox 2
MELONTOOLS**

7 dni bez wody

BUSHCRAFT



OUTDOOR



PRZYGODA



wisport

MILITARY & TACTICAL



Spis treści

1. Wstęp	3
2. Wywiad – Selco Begovic	4
3. Nocna uciezka	7
4. 7 dni bez wody	10
5. Gdy zabraknie wody	12
6. Gdy zabraknie jedzenia	15
7. Kultura i media - Survival w mieście	17
8. Test sprzętu – Wisport SilverFox 2	18
9. Test sprzętu - Pokrowiec na filtr	19
10. Surwiwalowy recykling - Zakrętka do filtra	21
11. Bushcraftowe dziedzictwo	22
12. Przybownik roślinny	25
13. Grzybowe tajemnice	28
14. Umiejętności - Brzoza	30
15. Jestem na Ptak	32
16. Knifemaker – Melontools	34
17. Etyka outdoorowa	38
18. Kącik dla dzieci – Bałwanek	39
19. Zakończenie	41



TRAPPERSHOP.PL

EKWIPUNEK BUSHCRAFTOWY,
TURYSTYCZNY, SURVIVALOWY.
KURSY I SZKOLENIA.

trappershop.pl



Wstęp

Nowy Rok, nowy czas, nowe plany, nowe pomysły. Działamy!

60 % ludności Polski mieszka w miastach. Ośrodki miejskie jako dominująca forma zamieszkania, tworzy nowe wyzwania, które kiedyś nie były znane. W sytuacji kryzysowej, będąc w mieście, polegamy głównie na służbach publicznych (straż pożarna, policja, pogotowie), lub firm serwisowych – one wszystkie dbają o nasze bezpieczeństwo i dobre funkcjonowanie naszego miejsca zamieszkania. Nie mamy prądu – wzywamy elektryka, cieknie nam kran – wzywamy hydraulika itd...

Zaczęliśmy uzależniać się od łatwo dostępnej pomocy, ale może zaistnieć taka sytuacja, w której nie będziemy w stanie liczyć na pomoc innych. Tym zajmuje się MIEJSKI SURWIWAŁ. Dziś miejskiemu surwiwalowi poświęca się bardzo mało miejsca w mediach społecznościowych, na forach, na kursach i warsztatach. Miejski surwiwal ogranicza się do tzw EDC (Every Day Carry), czyli do przedmiotów, które zawsze mamy przy sobie i do BOB (Bag Out Bag), czyli do plecaka ucieczkowego, gdy będziemy musieli ewakuować się. A co, gdy nie będziemy mogli się ewakuować i nie będziemy mogli opuścić miasta?

W naszej najnowszej historii możemy spotkać się z przykładami sytuacji ekstremalnych, gdzie sztuka przetrwania w mieście nie jest formą rozrywki jak dzisiejszy surwiwal i bushcraft, a prawdziwą walką o życie z różnymi zagrożeniami. W 1944 doświadczyli tego ocalańcy z Powstania Warszawskiego, tzw. Warszawscy Robinsonowie.

Niektórzy z nas pamiętają wiadomości z wojny domowej w byłej Jugosławii: zdjęcia i doniesienia w programach informacyjnych pokazujących ludzi, którzy poruszają się po ulicach, kryjąc się przed kulami. Jak to wyglądało możemy przeczytać w książce „Survival w mieście” której autorem jest Selco Begovic.

Miejski surwiwal, to nasz temat miesiąca, ale nie zabraknie też stałych rubryk.

W planach mamy rozpoczęcie kursów surwiwalowych i bushcraftowych pod patronatem Biuletynu Surwiwalowego, ale o tym w kolejnym numerze magazynu.

Zapraszamy do lektury!

**Marian RADAR Wyrzykowski
Redaktor naczelny**



Selco Begovic

Selco Begovic – sanitariusz, paramedyk, autor książek o miejskim survivalu, prowadzi własną szkołę survivalu - "SHTF School Survival Boot Camp"

Z Selco Begovicem (**SB**) rozmawia Paweł Frankowski (**BS**).

BS: Jak długo zajmujesz się tzw. Miejskim survivaliem?

SB: Mogę teraz powiedzieć, że mam z tym do czynienia od prawie 30 lat. Od początku wojny na Bałkanach i przez lata po jej zakończeniu żyłem tym, najpierw w czasie wojny jako konieczność (bo to była prawdziwa codzienność-przetrwanie), potem przez lata kontynuowałem edukację w tym zakresie, bo to ma sens – to stało się moim zwykłym sposobem na życie.

To nie znaczy, że moje życie to życie w bunkrze lub ciągły strach, bardziej przypomina to świadome życie, w którym po prostu zdajesz sobie sprawę, jak szybko wszystko może się zepsuć i jak bardzo może być źle.

Jakieś dziesięć lat temu odkryłem, że istnieją nieformalne zrzeszenia (grupy) przetrwania oraz społeczność prepperów.

Uświadomiłem sobie jednocześnie, że jest wielu zainteresowanych, a także wiele osób nie ma pojęcia, co de facto oznacza prawdziwe przetrwanie i co powinni zrobić, gdy wydarzy się coś złego. Uważam, że to był początek mojego zaangażowania w informowanie ludzi w tym temacie.

BS: Czy twoja pierwsza książka (dostępna polskiemu czytelnikowi pt. „Miejski survival”) była dla ciebie rodzajem terapii, czy miała na celu obalenie mitów survivalowych?

SB: Właściwie oba powody o tym zadecydowały. Zaczęło się od chęci obalenia często naprawdę szalonych (często fikcyjno-filmowych) pomysłów na przetrwanie. Czytałem co ludzie pisali na forach i dziwiłem, jacy są naiwni w swoich wyobrażeniach. Zdaję sobie sprawę, że niektórzy ludzie nigdy nie zaakceptują pewnych rzeczy lub nigdy nie zaakceptują niektórych prawd – lubią wierzyć w mity, wiem też, że nigdy nie będę w stanie przelać pewnych rzeczy na papier. Jest to więc jak ciągła praca lub walka. Pisząc o tym, wracałem do tych strasznych dni i czułem dreszcze wspomnień, wiedziałem jednak, że przelewając to na papier być może komuś uratuję życie.

BS: Jeśli miałbyś wybrać tylko jedną najbardziej niezbędną umiejętność podczas SHTF, co by to było?

SB: Jest to pytanie za milion dolarów i nie ma jednej uniwersalnej porady, ponieważ dana sytuacja zależy od wielu czynników, mogę tylko wyrazić własną opinię (opartą na doświadczeniu): umiejętności medyczne.

Jeśli chciałbym nieco rozwinąć tę kwestię, powiedziałbym, że każda umiejętność, która zastąpi brakujące usługi (gdy wszystko się zepsuje), jest cenna. Więc uczysz się umiejętności, które zastępują te usługi, ale najważniejsze: bezpieczeństwo i ochrona (umiejętności walki), medyczne (ratownicy medyczni, pielęgniarki, lekarze ...) żywność i woda (ogrodnictwo, zaopatrzenie w wodę ...) i tak dalej i tak dalej. Tak więc kładź nacisk na własne umiejętności, które są NAJWAŻNIEJSZE i potrzebne KAŻDEGO DNIA.

BS: Którą broń (również improwizowaną) wybrać, jeśli nie masz dostępu do współczesnej broni palnej, aby chronić siebie i swoją rodzinę?

SB: „Dostęp do broni palnej”, a dokładniej „brak dostępu do broni palnej” to przereklamowane stwierdzenie, czy też powiedzmy filozofia. W każdym społeczeństwie istnieją sposoby na zdobycie broni palnej w inteligentny sposób, zwłaszcza jeśli planujesz mieć ją tylko na czas „najgorszego scenariusza”. Z tego co wiem, w Europie bez specjalnych pozwoleń możesz mieć broń czarnoprochową, nawet kilkustrzałową np. rewolwer.

Jeśli skupimy się na innej, to łuki, noże, spraye pieprzowe, siekiery... ale znowu, nie wdawaj się tutaj w fantazje, tego typu broń może zastąpić broń palną tylko do pewnego momentu. To jest prawdziwe życie, a nie film fabularny. Jednocześnie (pracując nad „alternatywną” bronią) na twoim miejscu poświęciłbym czas (i mózg) na zbadanie sposobu posiadania broni palnej w pełni legalny sposób. Broń nielegalna, nabyta w pokojowych czasach, może spowodować na ciebie nieoczekiwane problemy.

BS: O co najczęściej pytają osoby na Twoim szkoleniu terenowym?

SB: Cóż, zadają wiele pytań, z czego się bardzo cieszę, ale oto najczęściej zadawane pytania:

- Dlaczego przetrwanie jest takie trudne i ponure?
- Powinienem zostać, czy powinienem iść?
- Czy ma sens gromadzenie złota (i jeśli tak, w jakiej formie)?
- Jak rozmawiać o przetrwaniu z rodziną?
- Jak skutecznie strzec (bronić) domu ?
- Jak pracować w grupie podczas SHTF ?
- Jak leczyć (konkretne) urazy?

BS: Dlaczego wiele osób uważa, że tzw. samotny wilk wytrzyma dłużej podczas SHTF w mieście?

SB: Żyjemy w świecie, w którym nasze opinie zwykle oparte są na popularnych filmach, książkach fantasy itp., gdzie jedna osoba jest w stanie pokonać cały uzbrojony oddział. Na ogół ta jednoosobowa walka ze wszystkimi wrogami i klęskami żywiołowymi kończy się tak, że ten „samotny wilk” przeżywa. Ten sam motyw powtarzany wielokrotnie w mediach wpływa również na nasze myślenie o przetrwaniu.

Więc jakoś „żyje”, ta fantazja „samotnego wilka”. Nie mówię, że to niemożliwe, mówię, że jest bardzo trudne i wyczerpujące bycie takim „samotnym wilkiem”. Co innego ucieczka z miasta pogrążonego w chaosie, a co innego długie ukrywanie się w jego ruinach. Nikt nie wspomina w filmach, kto opiekuje się jego domem/schronieniem, gdy ten „samotny wilk” śpi, kto mu pomaga, gdy ma biegunkę spowodowaną złym jedzeniem lub leżał chory na zapalenie płuc w świecie, w którym nie ma szpitali. Kto będzie wtedy gromadzić drewno na opał, wodę, jedzenie, kto zadba o jego bezpieczeństwo? Albo po prostu, jak on sam może poradzić sobie ze wszystkimi innymi problemami, które przynosi upadek?

BS: Wiem, że nie jesteś jasnowidzem, ale myślisz, że po bieżących wydarzeniach wkrótce nadejdzie SHTF w niektórych krajach?

SB: Nie, nie jestem jasnowidzem. Właściwie, kiedy chcę dowiedzieć się, co nadchodzi, patrzę w przeszłość – co się stało i sprawdzam, czy nie ma znaków i podobieństw.

Żyjemy w świecie, w którym już jesteśmy w stanie „powolnego spalania”, upadku, a ponieważ natura ludzka przyzwyczaiła nas już od jakiegoś czasu, więc w istocie już w nim jesteśmy – to po prostu powolne spalanie. Media nie mówią nam wszystkiego, często tak przedstawiają pewne wydarzenia, aby je przejaśnić, albo mówią o nich po fakcie. Z czasem znieczulamy się na nieszczęście innych, jak i zapowiedzi realnej katastrofy. Z kolei każdy rząd ma swoje tajemnice, pewne informacje, nie wychodzą poza wąski krąg wtajemniczonych osób. Tak było i jest nadal.

Teraz możesz wybrać (dla każdego regionu), co mogłoby „wypchnąć nas” poza bezpieczne rejony. Dla niektórych może to być kryzys imigrancki, pandemia, dla innych może to być ostra polaryzacja polityczna, która przechodzi w kwestię pełnej nienawiści, a dla niektórych może to być po prostu zmiana rzeczywistości geostrategicznej, tak że dawne pretensje sąsiadów ożywają. „Kręcimy się” coraz szybciej, a w miarę upływu czasu potrzebujemy „mniejszych” wydarzeń, które nas popychają.



SHTF School Survival Boot Camp





Nocna ucieczka

Biegłem co tchu w piersi, szukając jakiegokolwiek miejsca, w którym mógłbym przynajmniej spróbować się ukryć. Choć na chwilę. Niestety miniony okres raczej nie pozwolił mi na zadbanie o kondycję, ledwo dyszałem. Jednak strach przed pościgiem kazał mocno wyciągać nogi i walczyć o każdy oddech. Dobrze, że znałem trochę okolicę. Jako nastolatek bywałem tutaj podczas obozów skautowych, gdzie nie raz w dzień i w nocy urządzaliśmy podchody. Pomimo ciemności zobaczyłem przed sobą po lewej majaczące ogrodzenie z cegieł, a za nim charakterystyczne kształty, niby cienie pomiędzy starymi drzewami.

Wbiegłem przez wyrwę w murze. Głosy prześladowców słyszeć było z dość bliskiej odległości, byli przecież tylko kilkadziesiąt metrów za mną. Dobrze, że już ciemno... Szybko rozejrzałem się i podjąłem decyzję, by ukryć się w kontenerze na odpady zielone. Ledwo się tam wdrapałem, zasapany i opadły z sił. W środku przysypałem się starymi kwiatami, ależ one śmierdziały! To ten niemożliwy do zniesienia zapach psujących się łodyg kwiatowych, jaki zawsze odpychał mnie, gdy opróżniałem wazon ze zwiędłymi kwiatami. Całe szczęście były też liście i jakaś zielenina, choć one też w konsystencji i zapachu przypominały kompost. Leżąc cicho, toczyłem walkę z własnymi płucami – one bardzo chciały złapać kolejny oddech, rozum kazał oddech wstrzymywać i być cicho. Z resztą... tak samo mocno zniechęcał mnie do oddychania ten smród.

Słyszałem, jak wbiegli i przeczesywali teren. Byli głośni, przekrzykując się wzajemnie i wydając polecenia. W stalowym kontenerze, pełnym zgniłego zaduchu te dźwięki brzmiały jak dźwięk trąbki z tłumikiem. Niby nie były tak donośne, ale dobrze wiedziałem, że to tylko złudzenie bezpieczeństwa. Oprawcy są tuż... Oby nie chcieli zaglądać do środka. Zajrzeli jednak... Schowany w narożniku kontenera, widziałem światło latarki przedzierające się przez to śmierdzące gównno.

– O, w mooordę! Ale capiii! – te słowa usłyszałem już bardzo wyraźnie, kiedy jeden z nich wsadził swój wredny pysk do kontenera. W ułamku sekundy poczułem wdzięczność za ten smród, widząc jak napastnik pośpiesznie wycofuje się z otworu. Widocznie uznał, że w takim czymś nie da się wysiedzieć i odpuścić przeczesywanie mojej

kryjówki. Uff, odetchnąłem pełną piersią, nie zważając na nic. Było mi obojętne jak bardzo cuchnie to powietrze. Nadzieja ujęcia z życiem spowodowała mimowolny uśmiech na mojej twarzy. Teraz, to dopiero rozumiem, co znaczy powiedzenie: „Smród, że aż cofa!”

Słyszałem, jak miotają się w okolicy. Ktoś potrącił coś szklanego, dźwięk bardzo charakterystyczny. Podobny odgłos pojawił się parokrotnie. Co chwila któryś rzucił przekleństwo, w sposób jakby ciągle się o coś obijali, potykali.

– Dobrze, że nie mają psów – wyszeptałem sam do siebie. Pewnie wtedy tak łatwo by nie odpuścili tego kontenera. Równocześnie poczułem, jak łązi mi jakiś robal po twarzy. Z obrzydzeniem strząsnąłem to coś, nie widząc nawet co to było. Blee, nie lubię tego. Uświadomiłem sobie, że tych robali jest tu pewnie cała masa. W końcu siedzę w śmietniku! Zapraǳnąłem wyjść, natychmiast. Kolejna walka. Obrzydzenie wypycha mnie na zewnątrz, rozum każe siedzieć bezszelestnie w miejscu i czekać.

Oddech powoli się uspokajał, a smród nie był już tak drażniący. Kilka chwil wystarczyłoby się przyzwyczaić? Może to raczej emocje odwracały uwagę... Czułem jak rozrywające czaszkę tętno ustępuje, zatrzymując się na poziomie wywołanym bardziej przez adrenalinę niż brak kondycji i zadyszkę.

– Tu jest ślad krwi! Pobieǳ tędy! – takiego obrotu sprawy się nie spodziewałem. Najwidoczniej, któryś z nich trafił na jakiś krwawy ślad i uznając, że to mój, pobiegli za nim. Mimowolnie stałem się dla nich jak ranna zwierzyna tropiona na jakimś polowaniu. Ale to było prawdziwe polowanie! I to ja byłem zwierzyną. Podjęli jednak fałszywy trop, pchani rządzą zabijania. Zabijania ludzi, którzy im nie pasują. Jak ja, jak moi bliscy... Nie wiem co to za krew była, ludzka czy zwierzęcia jakiegoś. Wiem jedno, ta krew uratowała mi życie.

Wiatr szumiał mocno, wywołując te upiorne dźwięki skrzypienia starych konarów, tak nieprzyjemne nocną porą. Nie słyszałem już ich rozmów i nieco uspokojony, ostrożnie wyjrzałem z kontenera. Najpierw tylko trochę, jednym okiem. Po chwili wystawiłem całą głowę. Zadziwiające, jak zawężone było moje postrzeganie, gdy tu wbiegałem. W ogóle nie zwróciłem przedtem uwagi na ten wiatr, który teraz okazał się prawie wichurą, mielącą powietrze ciężkie od wilgoci. Korony dużych drzew nade mną kołysały się wzbudzając respekt. Gdzieś tam, widać było przyciemnione światełka maleńkich płomieni, żwawo poruszających się na tym wietrzysku, jakby walczących o przetrwanie... Oby tylko nie zgasnąć! Byłem jednak zbyt przerażony, by nad tym rozmyślać. Gdyby to było podczas biwaku, to co innego. Teraz jednak nie było zabawnie. Musiałem działać, szybko i sprawnie. Co mam robić dalej? Czy mogę uciekać? Zostać tutaj? Co przyniosą następne godziny? A jeśli oni wrócą zaraz, gdy zorientują się, że mnie nie ma gdzieś tam, ale jestem tu?

Błyskawicznie wyskoczyłem z kontenera, odzyskawszy nieco sił. Wiedziałem, że mam tylko jedną szansę. Rozejrzałem się dokładnie, choć pośpiesznie. Nie miałem miejsca, do którego mogę wrócić, bezpiecznej i stałej kryjówki. W ogóle nic nie miałem i tak stojąc, coraz bardziej sobie to uświadamiałem. Przecież zerwałem się do ucieczki, zupełnie nie spodziewając się, że znajdą mnie tam, gdzie byłem wcześniej, siedząc przy ognisku razem z synem. Takie czasy... Świat się dosłownie przekręcił do góry nogami, wielotygodniowa tułaczka, spanie w ruinach, ech... Gdzie on teraz jest? Zdołał umknąć, czy dorwali go? Serce mi się ścisnęło z bólu na myśl o tym. Ale to mądry i sprawny chłopak jest. Kiedy był mały, czytałem mu powieści Curwooda, a potem czasem trenowaliśmy, to o czym czytaliśmy. Ale to nie był czas na wspomnienia. Myśli goniły jak szalone. Wierzyłem, że gdzieś się skrył. Musiałem go tylko odnaleźć. Musiałem dać jakiś sygnał... Co robić?!

Potrzebowałem podjąć jakieś działanie. Najlepiej rozsądne, by nie ulec głupiej panice albo przeciwnie, paraliżowi. Po kilku chwilach w kieszeniach spodni i bluzy miałem poutykane różne przedmioty. Znalazłem sporo wosku, a przy tej pogodzie mógł być nieocenioną pomocą. Łodyga sztucznego kwiatu, który leżał nieopodal kontenera, była świetnym kawałkiem sztywnego drutu. Poszukałem chwilę, niemal po omacku, ale znalazłem jeszcze trzy. Fantastyczna sprawa, w całym zamieszaniu i presji strachu, te małe znaleziska cieszyły mnie i dodawały odwagi. Ze sterty rozbitego szkła udało mi się wygrzebać szklane naczynko, przypominające nieco szklanekę-musztardówkę, zupełnie całe, nie rozbite. Był tam też aluminiowy pojemnik, jakby po konserwie, ale

pachniał raczej parafiną i spalenizną – nic to, przyda się do gotowania wody, albo jako kubek. Zwróciłem na niego uwagę, gdyż grzebiąc w tej stercie potrafiłem go i stoczył się, wydając głośny dźwięk, jak pusta puszka kopnięta na miejskim chodniku. Zamarłem na chwilę, bojąc się, czy może moi oprawcy tego nie usłyszeli. Nie było jednak żadnej reakcji. Z pnia wielkiego drzewa zerwałem jakieś ogłoszenie czy plakat... nie mogłem rozczytać, ale papier wydawał mi się przydatny, choć wilgotny. Wsadziłem go za koszulę, by podsechł od ciepła skóry. Do tego jakieś kawałki sznurka zerwane z ogrodzenia, metalowa nakładka-dekielek (pasował do szklanego naczynka). Idąc w kierunku furty natrafiłem na wystający z ziemi kran, prostą metalową rurę, jak to zwykle bywa w takich miejscach. Odkręciłem kurek, raczej z ciekawości, niż z przekonania, że to ma sens. Okazało się jednak, że cienka stróżka wody lała się stabilnie z kranu. Nie zastanawiając się długo, napełniłem nią dopiero co wygrzebany ze śmieci szklany kubek i przykryłem dekielkiem, by woda się nie wylała. Wyjrzałem przez furtę i już miałem ruszyć, kiedy przemknęła mi jeszcze jedna myśl: „Zabierz ogień!”. Cofnąłem się, chwyciłem pierwszy palący się znicz i ruszyłem pośpiesznie.

Skrywając znicz pod pazuchą, by nie było go widać, ostrożnie wyszedłem poza mur w stronę gęstwiny drzew, rozglądając się uważnie i starając się iść tak, by nie można mnie było łatwo dostrzec. Obejrzałem się za siebie... Uświadomiłem sobie, że paradoksalnie cmentarz uratował mi życie i wyposażył w niezbędne rzeczy.
– Może w jakiś sposób trzeba umrzeć, żeby żyć... - pomyślałem, wnikając spieszenie w czerń lasu.

Autor: Sergiusz BORSUK Borecki

Zdjęcia autora

Miejski surwiwal

Oblicza miejskiego surwiwalu są różne, nie jesteśmy w stanie przewidzieć i przygotować się na każde zdarzenie, które może nas spotkać. W sytuacji kryzysowej możemy polegać tylko na wiedzy i umiejętnościach nabytych i trenowanych wcześniej. Wiele z tych sytuacji zdarza się w domu, mieszkaniu. Posiadanie apteczki, w której są podstawowe leki i materiały opatrunkowe, to podstawa. Zestaw narzędzi, awaryjnego oświetlenia, gaśnicy umożliwi nam szybką reakcję na niespodziewane wydarzenia. Nauczmy się nimi posługiwać. Pójdźmy na kurs pierwszej pomocy, na kurs przetrwania, aby poznać proste techniki surwiwalowe przydatne nie tylko w lesie. Zróbmy to dla siebie, tak jak ubezpieczamy mieszkanie, dom, samochód. Wiedza i umiejętności to właśnie taka forma ubezpieczenia się i przekonania, że w niespodziewanej sytuacji swoją wiedzę będę potrafił zaadoptować i wykorzystać.

Sztuka improwizacji, bo dziś to staje się sztuką, to też wykorzystanie znalezisk, do wykonania niezbędnych narzędzi. Szklane naczynko, puszka, sztuczne kwiaty (druć), wosk, znicz i wiele innych przedmiotów, które możemy znaleźć po drodze, na osiedlowym śmietniku, czy choćby na cmentarzu, mogą nam pomóc w kryzysie. Mając puszkę i drut z kwiatów możemy zrobić mały kociołek do zagotowania wody. W szklanym naczynku możemy zaparzyć herbatkę ziołową z kory wierzby, w kociołku przyrządzić "szpinak" z liści pokrzywy i babki. Nie najemy się, ale ciepły posiłek podniesie nasze morale, zmotywuje nas do dalszej walki o przetrwanie. Bo przetrwać mają wszyscy...

Autor: Marian RADAR Wyrzykowski

Wyjątkowe i niepowtarzalne kursy, warsztaty, szkolenia z zakresu bushcraftu, survivalu, preppingu, botaniki użytkowej, leśnego rękodziela, pionierki oraz edukacji leśnej i plenerowej.
Jesteś zainteresowany specjalnym szkoleniem, dostosujemy je do Twoich potrzeb.

Kontakt: <https://www.trappershop.pl/news/n/256/Szkolenia>



Szkoła bushcraftu

QUINOX

Bushcraft & Survival





7 dni bez wody w bloku mieszkalnym

Autor: Paweł Frankowski SPSS ŚLĄSK

Stosunkowo łatwo jest przygotować się na krótkotrwały i zapowiedziany brak wody. Co jednak, jeśli nie wiesz dokładnie, kiedy wodę wyłączą ani na jak długo, a do tego nie możesz opuścić budynku, w którym mieszkasz?

Postanowiłem zrobić 7-dniowy eksperyment, aby naocznie sprawdzić, ile wody potrzeba nam w sytuacji awaryjnej. Sześć lat temu w książce „Przygotowani przetrwają” zalecałem, że 5 litrów na dobę dla jednej osoby to zalecane minimum, a 10 litrów to niemalże wodna „rozpuszta”. Moje kilku dniowe zmagania udowodniły, że problemem nie jest tylko jej ilość, a sposób jej wykorzystania.

Założenia eksperymentu: całkowite zakręcenie ujęcia wody (zimna, ciepła), brak dodatkowych zakupów wody, żyjemy tylko z tego co mamy odłożone na czarną godzinę i co uda nam się pozyskać.

Dzień pierwszy:

Przyzwyczajenia biorą górę. Co rusz łapiemy się na tym, że z kurka nie leci woda i trzeba polewać z 5-litrowych butelek. Duże butelki są nieporęczne, dużo wody marnuje się bezpowrotnie na np. mycie rąk. Pomogło przelanie do 1 litrowego naczynia, które jest poręczniejsze i szybciej widzimy ubywającą wodę. Zbiornik z toalety szybko stał się pusty i co za tym idzie bezużyteczny.

Dzień drugi:

Zaczyna się lekka irytacja, spowodowana głównie brakiem wody w toalecie i koniecznością lania wody z butli. Nagle okazuje się, że wlanie 3-5 litrów wody niekoniecznie sprawia, że zawartość muszli znika. Zastanawiam się, co jest nie tak i dlaczego, aż tyle wody się przy tym marnuje. Pojawiają się pierwsze wnioski dot. oszczędności wody. Ręce mydłem myjemy w misce z wodą, a następnie po kilkukrotnym wykorzystaniu używamy do spłukiwania toalety. Dodatkową zaletą jest

ograniczenie brzydkiego zapachu. Nadal się myślę i odruchowo odkręcam kran z wodą. Nic nie leci, bo niby skąd.

Dzień trzeci:

Za oknem pada deszcz. Myślę, jak by tu złapać kilka litrów (marzyciel), tak aby przy okazji nie zachłapać podłogi w pokoju. Okazuje się, że odwrócona parasolka wystawiona za okno robi robotę, niestety wpadłem na to trochę za późno, deszcz się kończy, ale jakieś pół litra wody zdążyłem przechwycić. Chyba jesienno-zimowe opady były zbyt wątpliwe.

Dostrzegam, że w zależności od diety (i pewnie stresu) muszę chodzić do toalety częściej, a to wiąże się z wydatkiem wody. Warto przemyśleć dietę także pod kątem dostępności wody.

Dzień czwarty:

Chyba wszyscy domownicy mają dosyć tej symulacji. Wzrasta irytacja, a także stos nieumytych lub niedoszorowanych naczyń. Lubię ryż, ale jak widzę, że muszę go płukać czystą wodą 3-4 krotnie dostrzegam, ile wody de facto marnowałem do tej pory. Teraz białą wodę po płukaniu ryżu wlewam do toalety celem rozcieńczenia zawartości. Nie zalewamy moczu za każdym razem wodą, a na pewno nie czystą wodą. Szkoda, że nie mamy jednorazowych naczyń. Niektórzy domownicy nie chcą codziennie jeść z tego samego talerza lub miski, co wczoraj. Kwestia przyzwyczajenia nadal góruje – chyba nie powiało grozą i stąd też te marudzenia. Zanotować: kupić jednorazowe sztućce i naczynia (papierowe).

Dzień piąty:

Z coraz to większą obawą patrzę, jak ubywają butelki z czystą wodą. Coś, co miało nam wystarczyć na 14 dni, kończy się w nieubłaganim tempie. Deszczu i śniegu brak. Wystawiam na noc t-shirt na zewnątrz, aby złapał nieco mżawki – ale rano wody jest tyle, aby co najwyżej zmoczyć usta. Nikt już nie łapie za kran, czyli nasza podświadomość już wie, że nie znajdzie tam wody. Wilgotne chusteczki z powodzeniem „obywają” nasze ciała, tym samym czujemy się czysci.

Dzień szósty:

Wpadam na nieco „obrzydliwy” pomysł, aby dwójkę robić do worka foliowego – jaka to duża oszczędność wody podczas splukiwania, ile litrów na to poszło w pierwszych dniach, aż nie chcę liczyć. Nawet nie było to takie straszne wystarczy podłożyć pod i usiąść na desce klozetowej. Oczywiście należy jak najszybciej się pozbyć tego bagażu.

Pojemnik na brudne ubrania jest nieco przepełniony, dlatego że typowe pranie jest niemożliwe.

Krótkie wnioski końcowe:

- Należy wykorzystać każdą okazję, aby bezpiecznie pozyskać wodę.
- Pozyskanie wody jest trudniejsze niż jej zmarnowanie.
- Tzw. szara woda może być użyta do innych celów.
- Higiena i toaleta to największy „pochłaniacz” wody.
- Do przygotowania pewnych potraw (produktów spożywczych) potrzeba 2-3x więcej wody niż do pozostałych.
- Oddzielaj puste butelki od pełnych, abyś się nie pomylił w ilości pozostałej wody.
- Im niżej mieszkasz, tym więcej wody uda ci się spuścić z rur nim zrobią to sąsiedzi.
- Nie warto trzymać całej wody w jednym naczyniu, ani też miejscu.
- Wyznacz codzienne maksymalne zużycie wody, szacując posiadane zasoby.
- Najpierw picie, potem gotowanie, mycie, pranie itp.
- Śnieg czy lód nie są czystsze niż woda, z której pochodzą.

Dzień siódmy:

Świętuję – gotuję wodę w garnku mieszkam z zimną w 5L butelce i robię sobie prysznic, jakie to wspaniałe uczucie. Pod nogi podkładam miskę, chcę uratować nieco wody.

Podsumowanie:

Ostatecznie zostało nam raptem kilka butelek, ale nie aż tyle, ile zakładałem, że powinno. Jeśliby pomyśleć i poszukać, to każdy ma w mieszkaniu kilka litrów wody, czasami są one w nieoczywistych miejscach. Jednakże nie zawsze wydobycie jej będzie proste. Zawsze warto zaplanować wcześniej skąd będę mógł pozyskać wodę, bez względu czy do picia, czy tylko dla toalety. Może masz dodatkowe ujęcie w okolicy, rzekę, strumień, a może studnię? Zawsze jest jakaś opcja, tylko trzeba myśleć kreatywnie, póki twój umysł jeszcze działa poprawnie, zanim zaczniesz odczuwać pragnienie i skutki odwodnienia. Zbieraj deszczówkę, wystawiając zaimprovizowane przedmioty, aby złapać deszcz spadający z nieba. Jeśli skapuje z dachu - odczekaj, aż się zmyje nagromadzony osad.

Zdjęcia autora



KSIAŻKI
KTÓRE
POWINIENIEŚ
MIEĆ
W SWOJEJ
BIBLIOTECZCE

Gdy zabraknie wody, czyli jak zdobyć i uzdatnić wodę w miejskich warunkach

Tekst: Artur Kwiatkowski, Krzysztof Lis, autorzy bloga domowy-survival.pl



Przeciętny Polak zużywa podobno dziennie aż 100-150 litrów wody (szacunki się różnią w różnych źródłach). Choć do picia potrzebujemy tylko 2-3 litry dziennie, to na co dzień wykorzystujemy ją także do gotowania, mycia naczyń, kąpieli, prania, sprzątania, czy wreszcie do spłukiwania w toalecie.

W normalnych okolicznościach tę wodę dostarcza nam wodociąg lub domowa instalacja ze studnią i zbiornikiem hydroforowym.

Ale co się stanie, gdy będziemy mieli do czynienia z awarią wodociągu, lub brakiem zasilania na większym obszarze, jeśli nikt nie podstawy nam beczkowozów? Skąd wówczas zdobyć w odpowiedniej ilości wodę? Jak uzdatnić ją do picia? Na te pytania postaramy się odpowiedzieć w niniejszym artykule.

Alternatywne sposoby pozyskiwania wody

Deszczówka

Po co w ogóle zdobywać tę wodę, skoro ona sama do nas dociera, czasem w dużych ilościach, pod postacią deszczu? Walka człowieka z naturą nie ma sensu, lepiej zaprząć jej siły do wykonywania zadań dla nas. Jeśli więc możemy pozyskać wodę z deszczu, zrobimy to koniecznie.

Jeśli tylko mamy możliwość przekierować wodę z rynny do jakiejś beczki, warto to zrobić na stałe, bo darmową deszczówkę można na co dzień wykorzystywać choćby do podlewania trawnika. To pozwoli zmniejszyć koszty utrzymania domu, a w sytuacji awaryjnej taki zapas wody będzie jak znalazł. Jeżeli nie jesteśmy w stanie tego zrobić, bo mieszkamy w bloku, możemy ewentualnie spróbować znaleźć miejsce, w którym podłączymy się do rynny. Czasem wystarczy tylko rozmontować rury spustowe, by przekierować wodę do wiader czy innych pojemników, które przyniesiemy z domu.

Wreszcie, w najgorszym razie, pozostaje nam zrobienie prowizorycznej konstrukcji do zbierania deszczówki z plandeki, folii, czy w ostateczności zastłonki prysznicowej, rozpiętej na kiju od szczotki i kiju od mopa.

Wadą korzystania z deszczówki jest to, że możemy korzystać z tego źródła jedynie wtedy, gdy pada deszcz. Wbrew pozorom to ogromna wada, bo pogoda w Polsce bywa kapryśna.

Śnieg

W chwili gdy piszemy te słowa, na ulicach polskich miast leży kilka centymetrów śniegu. Z tego źródła jednak należałoby korzystać w ostateczności. Zebranie centymetra śniegu z powierzchni jednego metra kwadratowego da nam ledwie jakieś 2 litry wody. I o ile można sobie wyobrazić zbieranie takiej wody z dachu powiedzmy samochodów, czy dachu budynku, o tyle nie sądzę, by ktokolwiek chciał zbierać białobrudno-żółty śnieg z trawników i wykorzystywać go do jakichś celów.

Samo zebranie śniegu, jego przyniesienie do domu i roztopienie zajmie sporo czasu, wysiłku i energii. Mimo to, na gorsze czasy nie zaszkodzi mieć to źródło wody w pamięci.

Rzeki, stawy, jeziora

Nawet w miastach znaleźć można zazwyczaj jakąś sporą rzekę, albo przynajmniej jezioro, staw czy oczko wodne w parku.

Te źródła wody zazwyczaj pozwalają pozyskać jej większą ilość jednorazowo, i to niezależnie od pogody i pory roku (pomijając np. niektóre stawy parkowe, z których woda na zimę jest spuszczana). Wiąże się to jednak z dwoma poważnymi ograniczeniami:

- po pierwsze, trzeba wymyślić jakąś metodę na przyniesienie lub przywiezienie do domu większych ilości wody,
- po drugie, ta woda zazwyczaj będzie dość mocno zanieczyszczona i jej wykorzystanie do

celów spożywczych będzie wymagać sporego wysiłku, by ją uzdatnić.

Dlatego nie czekaj ze znalezieniem takiego źródła wody na sytuację awaryjną. Już teraz powinienes/powinnaś znać w okolicy miejsca, w których jest dostępna możliwie czysta woda. Atrakcyjne zwłaszcza będą punkty położone niedaleko twojego domu czy mieszkania, a w szczególności te, do których można dojechać samochodem. Lepsza będzie woda płynąca, niż stojąca, bo ona ma nieco większe zdolności oczyszczania się. Z drugiej strony, polskie rzeki zazwyczaj i tak są zanieczyszczone, więc to niewiele zmienia.

Jeśli znasz w swojej okolicy jakieś źródła wody podziemnej uchodzącej na powierzchnię, pamiętaj o nich, bo te źródła prawdopodobnie będą w stanie dać ci dużo lepszą wodę, niż jakakolwiek rzeka czy staw w okolicy.

Pozostaje jednak problem przyniesienia tej wody do domu. Ale można go rozwiązać jadąc na przykład raz na kilka dni samochodem, by przywieźć jej nawet i 200-300 litrów. To tylko kwestia kupienia odpowiedniej liczby pojemników na wodę (mogą to być np. plastikowe kanistry po produktach spożywczych, albo plastikowe, szczelnie zamykane beczki). Do tego przyda się wiadro i może lejek do ich napełniania, albo po prostu pompa zatapialna i przetwornica 12/230 V, podłączana do samochodowego akumulatora. Takie rozwiązanie w praktyce pokazaliśmy na jednym z ostatnich filmów na naszym kanale na YouTube.



Uzdatnienie wody do picia i innych celów

Jest w zasadzie tylko jedno zastosowanie wody, do którego nie musimy jej uzdatniać: spłukiwanie toalety. W razie niedoboru, raczej nie będziemy używać w tym celu wody, która wcześniej nie wykonała dla nas jakiejś pracy. Lepiej jest wodę uzdatnić, użyć na przykład do prania czy mycia naczyń, a potem spłukać nią *jedynkę* albo *dwójkę* w sedesie.

Tak, nie pomyliliśmy się, trzeba uzdatniać wodę również do tych nie spożywczych celów.

Woda deszczowa, o ile zbierana bezpośrednio (np. z plandeki rozpiętej między drzewami), jest względnie czysta, zarówno chemicznie jak i biologicznie. Ta z

dachu będzie już bardziej zanieczyszczona, choćby odchodami ptaków, czy po prostu kurzem z opadającego smogu. Najwięcej zanieczyszczeń będzie na pewno w wodzie z rzeki takiej jak Wisła, czy parkowych stawów. I to mimo faktu, że może być w nich bogate życie biologiczne (np. ryby).

To właśnie m.in. z tym życiem biologicznym musimy się uporać. Nie chcemy zainfekować naszego organizmu jakimiś bakteriami lub chorobotwórczymi pierwotniakami. Nie chcemy też pić wody z metalami ciężkimi, środkami ochrony roślin, nawozami sztucznymi czy innymi zanieczyszczeniami chemicznymi.

Z tego względu wodę musimy uzdatnić. Także tę do prania, kąpieli i mycia naczyń. Czy chcesz prać swoje ubranie czy myć talerze w wodzie z bakteriami kałowymi? No właśnie, tak sądziliśmy. Musisz pamiętać, że wiele ofiar kataklizmów takich jak powódzie, tsunami czy huragany, umiera nie ze względu na samo zjawisko pogodowe, tylko z powodu braku dostępu do czystej, bezpiecznej wody.

Gotowanie

Metoda świetna do unieszkodliwiania zanieczyszczeń biologicznych (choć nie wszystkich). W zasadzie można przyjąć, że woda po zagotowaniu i ewentualnym wystudzeniu nadaje się do wszystkich wymienionych wcześniej celów. Gotowanie jednak nie usuwa zanieczyszczeń mechanicznych ani chemicznych (choć niektóre substancje z wody odparują zanim zaczniesz się gotować, co spowoduje ich usunięcie).

Inną wadą tej metody jest czaso- i energochłonność. Gotowanie litra wody może zająć nawet kilka minut na odpowiedniej kuchence, ale czy masz dość paliwa w zapasie, by zagotować codziennie 60 litrów wody (po 15 litrów wody na głowę w czteroosobowej rodzinie)? Dlaczego piszemy o zapasie paliwa? Bo brak prądu może oznaczać też brak gazu do gotowania.

I tak, ognisko plus trzy kamienie wystarczą do zagotowania wody. Tylko na balkonie go raczej nie rozpalisz, prawda?

Tabletki do uzdatniania wody i inne metody chemiczne

W zasadzie powinno się mówić o tabletkach do dezynfekcji wody, bo takie jest zastosowanie tej chemicznej metody uzdatniania. Tabletki z chlorem (albo wybielacz chlorowy lub nadmanganian potasu) jest w stanie unieszkodliwić wyłącznie zanieczyszczenia biologiczne.

Ta metoda nie pomoże w przypadku zanieczyszczeń

chemicznych i mechanicznych, a przypadku tych ostatnich może zmniejszyć skuteczność (zawiesina zanieczyszczeń zmniejsza efektywność środków chemicznych oznacza konieczność zwiększenia ich dawki).

(Każdy człowiek inaczej reaguje na chemiczne uzdatnianie wody, traktujemy to jako ostateczność, aby zadziałało musimy ściśle przestrzegać zaleceń producenta, w przypadku improwizowanych chemicznych metod uzdatniania wody, bądźmy bardzo ostrożni i najlepiej przejdźmy kurs technik przetrwania u wykwalifikowanych instruktorów survivalu - przyp. Red.)

SODIS

SOLar DISinfection, czyli dezynfekcja wody z użyciem promieni słonecznych. Metoda prosta, ale również nie działa na zanieczyszczenia mechaniczne i chemiczne. Wystarczy:

- do połowy butelki PET wlać wodę,
- intensywnie mieszać przez minutę,
- dolać wody do pełna,
- wystawić na pełne słońce na kilka godzin.

Promieniowanie ultrafioletowe i rozpuszczony w wodzie tlen robią robotę.

Tu też mętna woda nie będzie się dezynfekować. Jeśli woda w dwulitrowej butelce jest na tyle mętna, że patrząc przez otwór w butelce pionowo w dół nie dasz rady rozczytać liter w gazecie, musisz ją najpierw przefiltrować. I nie używaj butelek większych niż 2-3-litrowe. Czy musimy wspominać o tym, by odkleić z nich etykietę?

(Aby nastąpiło uzdatnienie wody muszą zaistnieć ściśle określone warunki pogodowe, terenowe i geograficzne,

zachęcamy do zapoznania się z opracowaniami naukowymi dostępnymi w sieci - przyp. Red.)

Domowe filtry do kranówki

Odrzucamy, bo one nie służą do usuwania zanieczyszczeń, które mogą się pojawić w wodzie z rzeki. Usuną część zanieczyszczeń chemicznych, ale ile i w jakim stopniu, to trudno zgadywać.

Filtry turystyczne i survivalowe

Dopiero to jest rozwiązanie, które można śmiało polecać do większości ze wspomnianych zastosowań. Najpopularniejsze tego typu filtry wyposażone są w półprzepuszczalną membranę, która zatrzymuje zanieczyszczenia mechaniczne i biologiczne. Jeśli mają wkład węglowy, są w stanie pochłaniać zanieczyszczenia chemiczne. Niestety, zazwyczaj są droższe od tych, które go nie posiadają.

To właśnie taki filtr rozwiąże prawdopodobnie wszystkie twoje problemy z zaopatrzeniem w wodę. Wybierając go zwróć uwagę na to:

- jaką skuteczność filtracji deklaruje producent,
- jaką żywotność zapewnia i czy podaje (czy w ogóle badał?) skuteczność filtracji pod koniec okresu żywotności,
- jak będziesz z niego korzystać.

Zwykłe filtry słomkowe pozwalają zasysać wodę ustami i do filtrowania pitnej nadają się świetnie. Ale jak przefiltrować takim urządzeniem kilkadziesiąt litrów wody dziennie do wszystkich innych celów? To jest bardzo trudne pytanie.



10-11 kwietnia
15-16 maja
12-13 czerwca 2021

**BESKIDZKI KURS
PRZETRWANIA**

bushcraftowy.pl

<https://sklep.bushcraftowy.pl/9-warsztaty-i-szkolenia>

Gdy zabraknie jedzenia

Zdobywanie żywności w warunkach miejskich.

Autor: Marian RADAR Wyrzykowski SPSS MAZOVIA

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że mleko produkuje karton bądź butelka, jaja znoszą tekturowe bądź styropianowe opakowania, na mięso polujemy w sklepowej lodówce, a kasza i ryż rośnie na półkach. To nasza codzienna rzeczywistość. Idziemy do sklepu i mamy żywności pod dostatkiem. Jednak, jak przekonaaliśmy się w zeszłym roku, puste pułki mogą się pojawić w sklepach, gdzie zabrakło żywności a łańcuch dostaw został tak zaburzony, że towarów pierwszej potrzeby nie było przez kilka dni. Poniższy artykuł jest przeglądowy i zachęcamy do samodzielnego zgłębiania tematów.

W marcowym numerze "Biuletynu Surwiwalowego", przedstawiliśmy listę żywności i chemii użytkowej, którą moglibyśmy mieć w zapasie na podobny czas jaki mieliśmy zeszłej wiosny. Ale co zrobimy, gdy zabraknie żywności w sklepach, nie będzie dostaw i nasze zapasy się skończą?

Oby ten czarny scenariusz się nigdy nie sprawdził!

Po lekturze książki Selco Begovica, zacząłem się zastanawiać w jaki sposób zdobyłbym lub wyprodukował żywność w takim mieście jak Warszawa. Warszawa jako miasto nie kojarzy się z miejscem, gdzie można w łatwy i dostępny sposób pozyskać jedzenie w sytuacji, gdzie sklepy są puste i nie ma dostaw żywności z innych źródeł. Można zacząć hodować żywność, warzywa, owoce. Ale do tego potrzeba dostępu do gleby, wiedzy i czasu. Każde miasto ma także swoją specyfikę, szczególnie głęboka urbanizacja i brak terenów zieleni utrudnia bądź uniemożliwia tę formę zdobycia żywności. Ale nie poddawajmy się...

Jadalne chwasty

Żywność w mieście można zbierać wprost z trawnika, wiele gatunków roślin, które rosną na nich jest jadalna, wystarczy je poznać. Na łamach "Biuletynu Surwiwalowego" prezentujemy niektóre z nich. Jest ich naprawdę bardzo wiele. Warto zainteresować się botaniką użytkową i poznać najpopularniejsze rośliny, które możemy jeść np.: pokrzywa, babka zwyczajna i lancetowata, mniszek lekarski. Oprócz jadalnych chwastów na trawnikach czasem rosną jadalne grzyby (**UWAGA TRZEBA JE DOBRZE ZNAĆ!!**).

Krzewy

Ozdobnymi krzewami obsadzone są parki, trawniki otaczające niektóre ogrodzenia, winorośle wspinają się na parkany i na mury miejskie – one też mogą być źródłem żywności. Warto się z nimi zaznajomić i

poznać jadalne gatunki. Wśród nich możemy spotkać róże, pigwę, czarny bez, leszczynę, winorośle.

Drzewa

Miejska dżungla – a jak dżungla to i są drzewa, które rodzą jadalne owoce. Wiele gatunków było sadzona dla swych walorów estetycznych. W niektórych miastach na terenach porolnych, bądź podziałkowych (rodzinne lub pracownicze ogródki działkowe) powstały parki miejskie, skwerki, na których nadal rosną drzewa owocowe: orzechy włoskie, jabłunki, grusze, śliwy to jedne z nich.

Własna produkcja żywności

Od kilku lat stają się modne miejskie otwarte ogrody warzywne, gdzie sadzone są marchwie, pietruszki, selery, ziemniaki itp. Rośliny te sadzone są na trawnikach lub przydomowych ogródkach. Warzywa można też hodować w domu, na balkonie lub na parapecie. Przy odpowiednim zadbanie (np. nawozy), możemy mieć stałe źródło żywności (wzbogacenia diety), które jest bogate w witaminy i skrobię. Okres wzrostu tych popularnych warzyw to ok. 3-4 miesiące.

Przechowywanie żywności

Nie mniejszą a może i najważniejszą rzeczą jaką powinniśmy umieć to przechowywać i przetwarzać żywność. Odpowiednie przetwarzanie i przechowywanie żywności zabezpieczą ją przed zniszczeniem i pozwoli nam ją spożywać w sytuacji, gdy nie będziemy mieli innych źródeł pożywienia. Peklowanie, gotowanie, pieczenie, suszenie, wekowanie, kiszenie, kwaszenie, solenie, wędzenie, kandyzowanie to jedne z wielu metod przedłużania okresu przydatności do spożycia produktów pochodzenia roślinnego i zwierzęcego. Poznajmy je i

nauczmy się je stosować.

Umiejętności

Jeśli nie mamy możliwości lub umiejętności zbierania lub wyhodowania własnej żywności, możemy mieć specjalną wiedzę, którą wymienimy na żywność. Warto uczyć się różnych rzeczy i znaleźć w sobie smykałkę do prac ręcznych. Tzw. "złote rączki" mogą być bardzo cennymi umiejętnościami. Oprócz naturalnych źródeł pożywienia, żywność można zdobyć w inny sposób, który obecnie jest nielegalny,

niezgodny z prawem i karalny. W sytuacji wyjątkowej (i tylko wtedy), będziemy musieli polegać na kłusowaniu (na ptactwo, drobne gryzonie, dzikie zwierzęta, ryby) i szabrowaniu (zdobycia żywności w miejscach opuszczonych przez ich mieszkańców). W mieście jest wiele miejsc, w których jest żywność, a nie bierzemy ich pod uwagę. Może to być dla nas atut w pozyskaniu jej. Warto znaleźć takie miejsca, zrobić sobie listę ich i zachować ją tylko dla siebie. Stare hasło skautów "Bądź gotów" wprowadź w życie już dziś, ucz się i rozwijaj swoją wiedzę i umiejętności już teraz, a nie gdy nastanie SHTF.



BIULETYN SURWIWALOWY



CZASOPISMO STOWARZYSZENIA POLSKA SZKOŁA SURWIVALU GRUPA REGIONALNA MAZOVIA



Survival w mieście

Autor: Michał Kowalczyk SPSS WSCHÓD

„Survival w mieście” Selco Begovica – to pozycja, która na naszym rynku zadebiutowała w sierpniu 2020 r., dzięki zaangażowaniu i tłumaczeniu Witolda i Zuzanny Rajchert. W tym miejscu dodam, że tytuł oryginału jest dużo dłuższy, mroczniejszy i dokładniej oddaje treść książki, ale to sprawdźcie już sami. Teraz, po kilku miesiącach, gdy emocje związane z premierą już opadły, warto na spokojnie wrócić do tego tytułu. Osobiście po tę pozycję sięgnąłem świeżo po premierze. Przyznam się, że dla mnie jest to tego typu książka, którą „pochłania” się w jeden wieczór. I oczywiście wraca do niej po raz kolejny i kolejny, aby za każdym razem odkryć w niej coś nowego.

Na jej temat powstało już sporo całkiem dobrych recenzji. Przewijają się w nich tego typu określenia jak „brutalna prawda”, „trudne i kontrowersyjne tematy”, „przetrwanie nie jest romantyczne” itp. I co do treści, to tak to właśnie wygląda. Przeczytanie „Survivalu w mieście” zalecałbym jako lekturę obowiązkową dla każdego rodzaju surwiwalowca, preppersa czy jak by tam inaczej się ktoś nie określał. To swoisty kubeł zimnej wody. Skutecznie sprowadza na ziemię, szczególnie jeśli wydaje się tobie, że „wiesz wszystko”, albo gdy uważasz, że „jesteś przygotowany”. Autor w każdym akapicie daje do myślenia. To szczególnie cenne w dzisiejszych czasach, gdzie wiele osób zachłystuje się bezrefleksyjnie ideami surwiwalu czy też preppingu, zapominając, że u ich podstaw stoi „walka o przetrwanie”, a nie sezonowa moda nakręcana przez mainstream. Tak, trzeba to przyznać surwiwal jest brudny, śmierdzący, boli, daje w kość, a czasami zabija. I wygląda zupełnie inaczej niż to, co czytamy o nim w social mediach siedząc na kanapie, i co nam się wydaje, że o nim wiemy.

Selco Begovic zabiera nas w mroczną podróż po zakamarkach brudnej ludzkiej duszy człowieka walczącego o każdą kolejną chwilę życia za wszelką cenę. Tu nie ma drugich szans ani taryfy ulgowej. Mówi o surwiwalu w mieście, bo w nim przyszło mu toczyć swoją walkę o kolejny dzień. Jednak przekazywane prawdy są uniwersalne i mają zastosowanie w o wiele szerszym kontekście. Cała opowieść jest tym bardziej realistyczna i głęboka, gdyż opiera się na prawdziwych przeżyciach i doświadczeniach Selco z czasów wojny na Bałkanach. Zaczyna on swoją historię jako nieprzygotowany, na czekające go tragedie, cywil w obłożonym mieście, pokazuje genezę i rozwój sytuacji kryzysowej. Często na tym etapie nie reagujemy, zachowując się jak bierny widz. A potem jest już za późno. Dalej widzimy, jak nisko może upaść człowiek w obliczu skrajności. Jak szybko upada system i to co wydaje się nam, że nadaje trwałość naszej cywilizacji. Jak łatwo i szybko normalni ludzie zamieniają się w krwiożercze

potwory. I to, że właśnie ludzie, my sami, jesteśmy dla siebie największym zagrożeniem. Przechodzimy z autorem przez wszystkie etapy przemiany człowieka wymuszone walką o przetrwanie, aż po traumę i PTSD. Idziemy dalej w piekło. Śmierć bliskich, cierpienie, głód, choroba, brak nadziei, brak wiary. Tu nie ma za grosz romantyzmu surwiwalowo-preppersowych przygotowań. Często nie ma szans nawet z nich skorzystać. Jest tylko wojna. Są tu też i obowiązują podstawowe zasady, na których wszystko bazuje. Ale uczysz się ich na bieżąco. Oczywiście jest i miejsce na techniki, które są jednak zmienne i wymagają ciągłego dostosowywania do sytuacji. Najważniejsze jest jednak to, co mamy w głowach, nasza psychika, nasza wiedza i umiejętności. Autor jako pielęgniarz posiada wiedzę medyczną, co daje mu istotną pozycję w grupie. Społeczności już nie ma. Znamienne jest też powracanie do wiedzy pierwotnej, posiadanej przez starych ludzi – tych pamiętających poprzednią wojnę i sposoby radzenia sobie w trudnych czasach. Masz cały magazyn sprzętu? Świetnie! Ale spada na niego bomba i wszystko tracisz... Masz broń, jesteś przygotowany do walki? Ok, musisz zabić człowieka. Czy już to robiłeś? Wiesz jak to jest? Zdajesz sobie sprawę jak to ciebie zmieni i jakie piętno na tobie odciśnie? Sporo takich kluczowych pytań i odpowiedzi na nie znajdziesz w tej książce. Nie wszystko może będzie dosłowne, ale nie wszystko musi być powiedziane wprost. W świecie, w którym trwamy nie ma nic pewnego, dlatego warto mieć świadomość. Im większą tym lepszą. Dotyczy to również naszych słabości i ograniczeń. I zawsze warto się rozwijać, ale o tym chyba nie muszę mówić.

Warto byłoby dodać coś optymistycznego na koniec... Może więc tak: poza wiedzą liczy się też szczęście i tego autorowi nie zabrakło. Przeżył. Pozbieranie się z traumy zajęło mu ładnych parę lat. To też mu się udało. Osobiście oceniam to krótko – mądrze być przygotowanym, ale głupotą jest oczekiwanie na taką sytuację, która nas zmusi do wykorzystania tego naszego przygotowania.

Wisport SilverFox 2

- jako plecak ewakuacyjny

Autor: Paweł Frankowski SPSS ŚLĄSK

Każda osoba uważająca się za preppera powinna mieć tzw. BOB-a, czyli zestaw umożliwiający samowystarczalność (zawiera m.in. schronienie, wodę, jedzenie, odzież) przez okres co najmniej 3 dni poza miejscem zamieszkania, bez względu na panujące warunki pogodowe. Jeśli jednak przygotujemy takie zasoby, okaże się, że miejski, codzienny plecak może być zbyt mały, aby to wszystko pomieścić.

W swojej szafie mam kilka plecaków, ale postanowiłem, sprawdzić, czy produkt od polskiej firmy Wisport sprawdzi się w tej roli. Wybór padł na model SilverFox 2, jednokomorowy plecak militarno-surwiwalowy o pojemności 40 l. Pamiętajmy, że ewakuacja to nie wycieczka, musisz się szykować na wariant, kiedy ze spakowanym bagażem będziesz musiał pokonać kilkanaście, kilkadziesiąt kilometrów każdego dnia, także pieszo. Dlatego bardzo ważne jest, aby plecak był wygodny. Opisany plecak posiada kilka cech, które zadecydowały o jego wyborze:

- Jedna duża komora główna o wysokości całego plecaka, z dostępem od góry, jak i z boku.
- Pas biodrowy, także z możliwością jego usunięcia, aby ograniczyć wagę.
- System szybkiego rozpinania szelek, aby pozbyć się plecaka w sytuacji tego wymagającej.
- Wymiary: 60 x 28 x 24 cm. Z racji na te rozmiary plecaka nie odstaje on w bardzo znaczącym stopniu od sylwetki.
- Taśmy systemu MOLLE, które służą do indywidulanej konfiguracji. Można przypiąć dedykowane kieszenie boczne od Wisport, jak i dowolne wojskowe ładownice czy zrywaną apteczkę.
- Liczne taśmy, które umożliwiają przytroczenie dodatkowego bagażu na obu bokach, tyle i spodzie plecaka.
- Odpinany organizer wewnątrz plecaka.
- Wykonany z cordury 500, która jest wytrzymała i odporna na deszcz.
- Peleryna przeciwdeszczowa ukryta w podwójnym dnie, która zabezpieczy przed ulewnym deszczem, a także ukryje paski.
- Wsparcie dla systemu hydracyjnego (camelbak).
- Dodatkowe uchwyty boczne, przydatne do przenoszenia bagażu w inny sposób niż na plecach.
- Kilka wariantów kolorystycznych, w tym w kamuflażu.

Ten stosunkowo duży plecak charakteryzuje się dużym komfortem noszenia poprzez zastosowanie elementów takich jak: siatka na plecach, pas dostosowujący się do szerokości bioder, regulowane szelki. Szelki są szerokie, wyprofilowane i są

naprawdę wygodne. Wykonanie plecaka jest bardzo solidne, co wzbudza moje wielkie zaufanie. Owszem wykorzystany materiał oraz paski Molle powodują, że plecak waży 2 kg, ale w zamian otrzymujemy pewność na lata. Tak, ma nieco taktyczny wygląd, ale jeśli ktoś zdecyduje się nas napaść i okraść – to wygląd plecaka nie ma aż tak dużego znaczenia.

Plecak **SilverFox 2** to idealny plecak nie tylko dla wymagających prepperów, ale dla wszystkich, którzy cenią sobie doskonałą jakość, wytrzymałość, przemyślany design i pojemność. Jeśli wolisz plecak, który umożliwia wygodniejszy dostęp do posiadanego bagażu, sugeruję sprawdzić model **ZipperFox40**. Główna różnica to brak klapy i komina, a dostęp do plecaka zapewnia zamek w kształcie odwróconej litry U.

Zdjęcia autora

Zdjęcia autora





POKROWIEC NA FILTR DO WODY

Autor: Marian RADAR Wyrzykowski SPSS MAZOVIA

Zabezpieczenie wrażliwego sprzętu przed uszkodzeniem i zabrudzeniem, jest niezwykle ważne w trakcie wyprawy turystycznej. Filtr do wody jest niezbędną częścią ekwipunku osób, które chcą spędzić kilka dni w plenerze i korzystać z naturalnych źródeł wody.

Od jakiegoś czasu korzystam z przenośnego filtra do wody. Trzymając go luźno w kieszeni plecaka albo w torbie foliowej zauważyłem, że brudzi się niesamowicie, a torebka, która ma przed tym brudem zabezpieczyć, przeciera się od innych elementów sprzętu w plecaku. Sam filtr jest niewielkiej wielkości walcem, ale w zestawie do niego znajduje się strzykawka do czyszczenia, elastyczna butelka i słomka. Te kilka elementów razem, trudno w cokolwiek schować.

Zacząłem szukać odpowiedniego pokrowca. Okazało się, że nie ma dedykowanego do tego filtra. Przeglądając różne fora, blogi, zauważyłem, że część użytkowników korzysta z dostępnych ładownic, saszetek, różnych kieszonek. Te rozwiązania nie były idealne. Znając ograniczenia i mankamenty filtra, dalej szukałem jakiegoś rozwiązania. Po jakimś czasie

doszedłem do wniosku, że będę musiał uszyć coś takiego. We współpracy z firmą HARDY.PL udało się stworzyć taki pokrowiec.



Sam pokrowiec jest dość prostą konstrukcją, zapewniającą bezpieczne i czyste przenoszenie filtra

oraz dodatkowych elementów. Do każdej części zestawu jest dedykowana wewnętrzna przegroda.



Dzięki temu, mamy pewność, że nie uszkodzimy żadnego z nich. Kieszon jest zamykana na rzep, co daje pewność, że nic z niej nie wypadnie. Na tylnej

ścianie kieszonki naszyte są taśmy montażowe.



Możemy tę kieszonkę nosić na pasku, a po doczepieniu sznurka także na szyi. Jest to dość ważne, szczególnie zimą, gdy po użyciu filtra musimy go chronić od zimna, a najlepiej to zrobić, ciepłem własnego ciała, wkładając "pod pazuchę". Jaskrawy pomarańczowy kolor ułatwia znalezienie go w plecaku, a w sytuacji awaryjnej może posłużyć jako znacznik.

Kieszonkę używam od kilku miesięcy. Dla mnie to idealne rozwiązanie. Mam pewność, że nie zgubię i nie uszkodzę żadnej z części zestawu. Zdjęcia autora

Bardzo dziękuję Bartkowi z Firmy HARDY za bezcenną pomoc.

hrdy.pl

Zakrętka do filtra

Autor: Marian RADAR Wyrzykowski SPSS MAZOVIA

Filtr do wody to narzędzie do uzdatniania wody w terenie. Jak ważne jest dbanie o filtr, wie każdy kto korzystał z niego podczas wyprawy.

Jeden z najpopularniejszych filtrów na końcu swojej obudowy ma gwint, do którego można przykręcić butelkę z nieoczyszczoną wodą i gdy zaczniemy ją ścisnąć, zacznie ona przepływać przez membranę i z drugiej strony zacznie wylać przefiltrowana woda. Tyle w teorii, a w praktyce...

Prowadząc kursy i warsztaty uczestnicy zgłaszali, że właśnie ten wlot filtra jest źle zabezpieczony przed zanieczyszczeniem, zabrudzeniem, często w ten mały otwór wpadają jakieś brudy z kieszeni, czymś się zanieczyści, gdy przypadkowo upadnie tym końcem na ziemię.



Od wielu lat robię mini pojemniczki z dwóch nakrętek i szyjki z gwintem od butelek PET. Służą one na różne przydasie, lekarstwa, przyprawy. Postanowiłem jeden z tych pojemniczków wykorzystać do zakręcenia filtra, aby zabezpieczyć go przed zabrudzeniem.



Możemy też w łatwy i szybki sposób zrobić sobie taką zakrętkę. Będziemy potrzebowali butelki PET z nakrętką i nożyczek.



Od butelki odcinamy szyjkę z gwintem i na odcięte miejsce wciskamy nakrętkę.



I już mamy zakrętkę do filtra.



Ten prosty patent zabezpieczy nasz filtr przed zabrudzeniem, zakurzeniem i pozwoli dłużej cieszyć się sprawnym narzędziem.

Zdjęcia autora



Buszkraftowe dziedzictwo – Harold Arthur Lindsay

Dzisiaj, gdy na powrót wiemy życie w cywilu, stoimy przed faktem, że wszystkie informacje o buszu, które zebraliśmy podczas służby w armii, pójdą na marne, jeśli czegoś z tym nie zrobimy.

*... Nie ma nic tajemniczego ani cudownego w buszkrafcie. Aby zostać dobrym buszkrafterem, trzeba opanować tysiąc i jeden małych sztuczek. . . trzeba zrozumieć, dlaczego pewne rzeczy się dzieją, a do tego konieczna jest przyswojenie podstaw chemii, fizyki, botaniki, geologii i zoologii.**

Autor: Sergiusz BORSUK Borecki SPSS MAZOVIA

W październikowo-listopadowym numerze [Biuletynu Surwiwalowego](#), ukazała się pierwsza część serii o początkach buszkraftu, pt. „Bushcraftowe dziedzictwo – Richard Graves”. W niniejszym numerze chciałbym przybliżyć kolejną znaną postać, również Australijczyka, **Harolda Arthura Lindsaya**, zwanego Billem – prekursora tej dyscypliny i mistrzowskiego instruktora buszkraftu.

Powyższy cytat na wstępie, pochodzi z początkowych stron *The Bushman's Handbook*, jednego z pierwszych i najbardziej cenionych przez dziesięciolecia podręczników sztuki przetrwania, autorstwa H.A. Lindsaya. Każdy, kto interesuje się surwiwalem i buszkraftem trochę szerzej niż tylko zgłębiając nieprzebrane bogactwo Youtuba, musiał się zetknąć z tym nazwiskiem. Ja, z racji tego, że moje surwiwalowo-buszkraftowe zainteresowania zakorzenione są właśnie na antypodach, po prostu nie mogłem o tym człowieku nie napisać.



H.A. Lindsay urodził się w 1900 r. w Adelajdzie i był Australijczykiem w trzecim pokoleniu. Zatem, przeciwnie do opisywanego wcześniej Richarda Gravesa, Australię i jej busz miał po prostu we krwi. Ówczesne społeczeństwo tego kraju nie było zbyt bogate i Harold pobierał naukę szkolną zaledwie

przez pięć lat, po czym w wieku lat 15 został zatrudniony przy pracy biurowej. Ponoć szczerze nienawidził tej roboty, prawdopodobnie jednak był jednym z niewielu członków swojej rodziny, który posiadał jakiekolwiek wykształcenie szkolne. W tamtym czasie często towarzyszył swojemu szwagrowi Davidowi Lindsayowi oraz swojemu ojcu George'owi w różnych wyprawach w głąb kraju. Jak sam relacjonował, był to czas, kiedy zaraził się buszkraftem i stało się to jego późniejszą pasją.

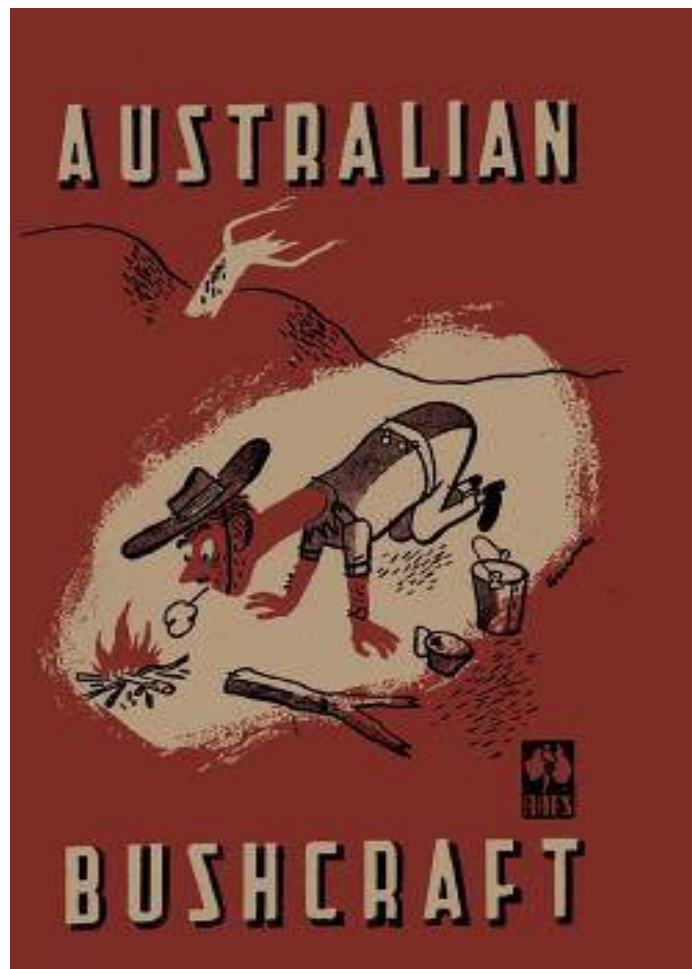
Po czterech latach pracy biurowej zatrudnił się przy pracach terenowych, np. budował ogrodzenia przeciw psom dingo. Był to okres, kiedy wiele czasu spędzał z dala od ludzkich siedzib i obcował z australijską, w wielu miejscach dziewiczą jeszcze przyrodą. Szczególnie interesowało go poznawanie roślin oraz działania na rzecz ochrony naturalnych formacji roślinnych Australii. Wiedza i doświadczenie jakie w tym czasie nabył, spowodowały, że został powołany do prowadzenia prac mających na celu zachowanie naturalnego charakteru znanego parku Heywood na ówczesnych przedmieściach Adelajdy i przekształcenia go w obszar chroniony (siedlisko endemitowej *Eucalyptus microcarpa*). W tamtym czasie rozkwiatały ruchy i związane z nimi kluby i stowarzyszenia zorientowane na turystykę kwalifikowaną i biwakowanie w australijskim buszu, o czym pisałem w poprzednim odcinku „Dziedzictwa buszkraftowego”. To okres, w którym na szeroką skalę w Australii i Nowej Zelandii pojawiają się związane z tą modną aktywnością terminy: *bushwalking*, *bushcamping*, *bushgoing*, *bushlore*, *bushcraft*.

W wieku 28 lat Lindsay postanowił zająć się profesjonalnie pszczelarstwem i hodowlą, a jego

status na tyle się ustabilizował, że po czterech latach założył rodzinę. W tamtym okresie próbował swoich sił także jako autor tekstów do lokalnych magazynów, w których pisał o przyrodzie, ale także publikował krótkie opowiadania – z powodzeniem, jak miemam, gdyż sam Lindsay twierdził, że tym sposobem wspierał domowy budżet.

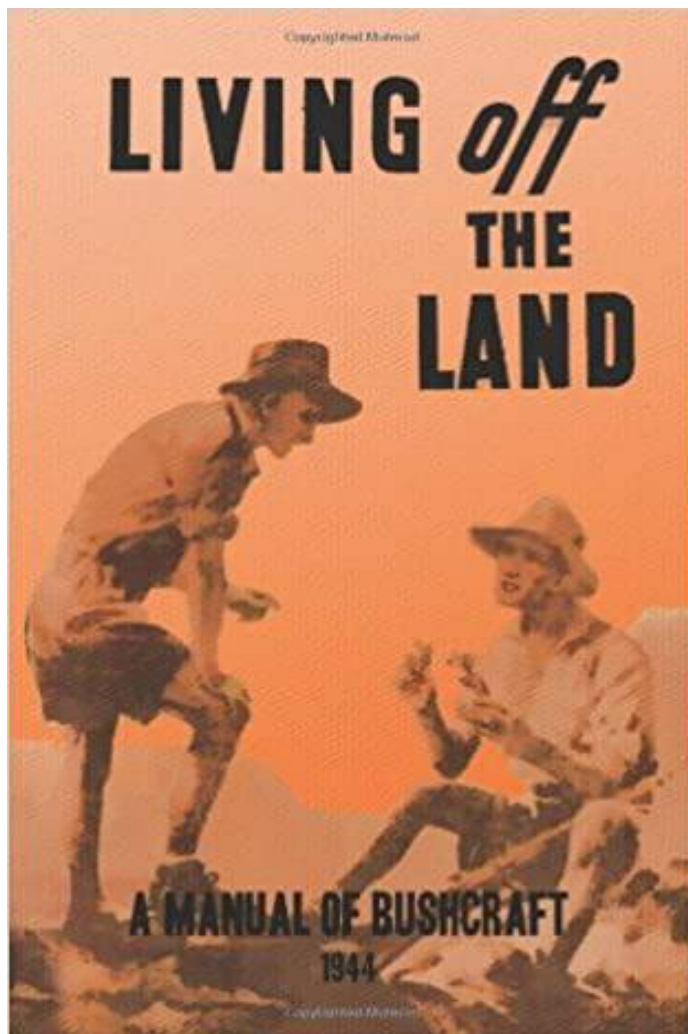
Nadszedł czas II wojny światowej, który podobnie jak w przypadku R. Gravesa, był okresem zaangażowania H.A. Lindsaya w działania armii australijskiej. Lindsay przebywał w armii od lutego 1942 do listopada 1945 r., jednak ze względu na stale powracające alergie nie był zaangażowany w bezpośrednie działania frontowe. Rozpoznano w nim dobrego instruktora, dlatego służył w pionie szkoleniowym.

Bardzo szybko on sam, ale też inni (Chargois, Pallin, Graves) dostrzegli ogromny brak w szkoleniach wojskowych, którym był... oczywiście survival i bushcraft, rozumiany jako sztuka przetrwania w buszu i dżungli (dlatego często używano terminu survival bushcraft). Lindsay, w przedmowie do swojej książki (wydanej oczywiście już po wojnie), pisał tak: „*Pewien człowiek, piszący pod pseudonimem, ewidentnie znakomity buszkrafter* [oryg. użyto słowa *bushman*, w polskim języku ma ono jednak odmienne znaczenie – przyp. autora], *sugerował w artykule prasowym, że podobnych tragedii można by uniknąć w przyszłości, gdyby żaden lotnik nie został dopuszczony do latania nad odludnymi obszarami, zanim nie zostanie przeszkolony w zakresie podstaw poszukiwania pożywienia i wody. Gdyby nie udało się znaleźć lepszego instruktora, autor artykułu zaproponował, że sam wykona tę pracę.*”** Osoby, które czytały o buszkrafcowym dziedzictwie w listopadowym numerze [Biuletynu](#), szybko zorientują się, że tym autorem, piszącym pod pseudonimem był nikt inny, jak Richard Graves, a w słowach tych odwoływał się do wielu wypadków pilotów wojskowych, którzy na skutek zestrzelenia lub awarii samolotu, zmuszeni byli lądować na obszarach odludnych – większość z nich umierała, gdyż nie potrafili sobie poradzić w dzicy i wrócić do cywilizacji. H.A. Lindsay został skierowany do prowadzenia szkoleń w tym zakresie jako ekspert od bushcraftu i znakomicie zaznajomiony z tamtejszą przyrodą instruktor-praktyk, gdzie „dochrapał” się stopnia starszego chorążego. Lindsay sformował swój własny zespół instruktorski i opracował trening survivalowy dla oddziałów operujących w Północnej Australii, Nowej Gwinei, Indonezji itd. To właśnie wtedy powstało pierwsze jego dzieło i zarazem jeden z pierwszych wojskowych podręczników sztuki przetrwania w dzicy – *Australian Bushcraft* (1942 r.).



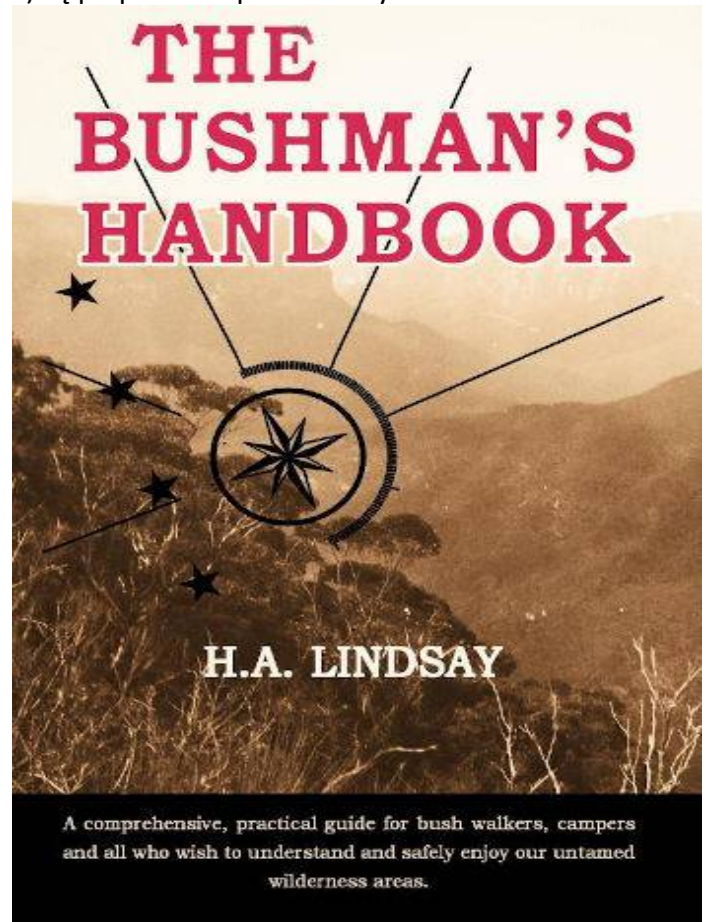
Przy jej tworzeniu wykorzystano także materiały autorstwa R. Gravesa, nie był jednak wspomniany jako autor, o czym wspominałem poprzednio. Ta niewielka, raptem 50-stronicowa książka, stała się podstawą dla wszystkich prowadzonych w tym czasie szkoleń. Niedługo potem, program szkolenia został poszerzony o działania w dżungli oraz program przygotowawczy dla żołnierzy-mieszczuchów. Szkolenie prowadzone było pod nazwą *Living off the Land* i opracowano dla niego kolejny podręcznik pod tym samym tytułem, którego Lindsay był współautorem (1944 r.).

Ze szkoleń korzystali żołnierze oddziałów specjalnych armii holenderskiej, amerykańskiej, australijskiej, indonezyjskiej, nowozelandzkiej i brytyjskiej. Program był dosyć obszerny i obejmował m.in.: rozpalanie ognia w deszczowej pogodzie, dużej wilgotności i mokrym drewnie, sposoby niecenia ognia bez zapatek, pozyskiwanie wody z korzeni i pni drzew, rozpoznawanie obszarów źródłiskowych po zachowaniu zwierząt, kopanie studni, bezpieczne obozowanie, nawigacja, sygnalizacja, rozpoznawanie roślin jadalnych trujących, prymitywne metody połowu ryb, pułapki na zwierzęta, budowanie schronień, tropienie, dbanie o zdrowie w dżungli i buszu oraz wiele innych tematów, często związanych z konkretnym obszarem.



Po zakończeniu służby w armii, Lindsay zajął się pisaniem książek. Pisał powieści i opowiadania dla dzieci i dorosłych (najbardziej znana to *The Red Bull*), prowadził programy radiowe i prelekcje. Zajął się także działalnością na rzecz ochrony środowiska, dziedzictwa przyrodniczego Australii i edukacją przyrodniczą. W 1946 roku powołał Adelaide Bushwalkers, klub buszkraftowo-turystyczny, który miał go wspierać w tych działaniach. W dziedzinie sztuki przetrwania nas oczywiście najbardziej zainteresuje jego dzieło pt. *The Bushman's Handbook*, wydane w 1948 r. Książka ta ukazuje całe mistrzostwo, wiedzę i kunszt tego człowieka. Niestety, wbrew oczekiwaniom współczesnych zawiera więcej treści, niż obrazków. Obecnie preferuje się piktograficzne tutoriale, Lindsay jednak sporo opisuje i jako pisarz robi to dobrze. Jak to wyraził C.A. Brown – ta książka to „samo mięso”. Podręcznik na około 160 stronach dotyka takich tematów: zdobywanie wody w buszu i dżungli, zdobywanie pożywienia, dzikie rośliny jadalne, połów ryb, tropienie i nawigacja, obozowanie, gotowanie w terenie, liny, powrozy i węzły, jak dbać o dobre zdrowie w terenie, sprzęt. Wiele porad jest mocno związanych z wojennymi doświadczeniami szkoleniowymi autora, a i sam układ treści jest przygotowany tak, by krok po kroku wprowadzić kompletnie nieprzygotowanego żołnierza w tajniki

sztuki przetrwania. Odmienne niż R. Graves, Lindsay w swój podręcznik skupia się bardziej na survivalowych umiejętnościach osoby działającej w pojedynkę, niż na obozowym urządzaniu sobie życia w duchu buszkraftowym. Książka doczekała się wielu wydań, choć kilka ostatnich (najnowsze chyba z 2013 r.) są po prostu reprintami wydania z 1963 r.



Podobnie jednak jak Graves, Harold Lindsay spotkał się niestety z niezrozumieniem, a nawet pogardą i oburzeniem ze strony działaczy ekologicznych i środowisk związanych z ruchem ochrony zwierząt. Jego podręcznik uraził wielu obrońców przyrody, ponieważ opisywał w nim techniki pozyskiwania zwierzyny w sytuacji survivalowej. Nie pomogły przekonywania, iż nie jest to zachęta do kłusownictwa, że podręcznik mocno osadzony jest w realiach działań wojennych itd... Z podobnym odzewem powyższych środowisk spotkały się jego działania na rzecz ochrony przyrody.

H.A. Lindsay pozostał jednak uznanym autorem książek w Australii, uhonorowanym nagrodami, nazwami ulic itd. W środowisku miłośników sztuki przetrwania natomiast, niezmiennie pamięć o nim i jego podręcznik zajmują należyte miejsce. Harold Lindsay zmarł w 1969 r. w wyniku choroby serca.

Zdjęcia autora

*Tłumaczenie własne autora artykułu, *The Bushman's Handbook*, H.A. Lindsay, 6th ed. Sydney 1963, str. XI, 1.

**Tłumaczenie własne autora artykułu, *The Bushman's Handbook*, H.A. Lindsay, 6th ed. Sydney 1963, str. VII.



Wielce pomocne leśne dziady

Autor: Kamil „Drzewiej” Czepiel SPSS PILICA

Styczeń wreszcie zaoferował nam nieco zimy. Długo wyczekiwany na nizinach śnieg i tęgi mróz były w stanie zapewnić warunki do prawdziwie zimowego biwaku. Takie okazje są i będą zapewne co raz rzadsze. Gdy tylko się nadarzą, wyruszamy więc w lasy i korzystamy ze sprzyjającej aury, a gdy oporządziśmy się już i zasiądziemy w ciepłym schronieniu, przy trzaskającym ognisku, rozgrzewając napełnione strawą żołądki ciepłym napojem – rozejrzyjmy się wokoło. Przecież zima to także dobry czas na roślinne zbiory! W naszej florze są wszak rośliny zimozielone, to znaczy takie, na których znajdziemy liście nawet w czasie śnieżnej zawiei.

Jeżeli dane wam było przedzierać się przez gęsto porośnięte leśne obrzeża, to z całą pewnością nie raz byliście skłonni zawołać ze złością: „O ty dziadu!”. Jeżeli tego nie zrobiliście, świadczyć to może o waszym spokojnym usposobieniu lub chęci niezmania skrzypiącej mrozem ciszy. Nasi przodkowie często nazywali dziadami rośliny lub tylko ich części, uporczywe w wędrówce czy ich codziennej pracy. Te, natrętnie się czepiały albo brudziły przyodzievek, zanieczyszczwały plony... niektóre mogły się wręcz okazać niebezpieczne. O jednym z takich gatunków opowiem w tym tekście.

Inna ludowa nazwa naszej rośliny brzmi „drapacz” i wcale nie chodzi o drapacz lekarski (*Cnicus benedictus* L.) stosowany zwyczajowo w dolegliwościach trawiennych. Z drugiej strony dzisiejsza bohaterka (bo współczesna polska nazwa

rośliny jest rodzaju żeńskiego) może poszczycić się działaniem przeciwbiegunkowym i hamującym rozwój bakterii w przewodzie pokarmowym, przez co także wspomaga procesy trawienne. Obecna nazwa polska (podobnie jak i rosyjska), odwołuje się do najeżonego kolcami grzbietu jeża i brzmi jeżyna (*Rubus* L.). Nie bez powodu podałem jednoczłonową nazwę, gdyż jeżyna jest gatunkiem zbiorowym, obejmującym być może nawet ponad sto występujących w Polsce, różniących się mniej lub bardziej gatunków. Oficjalna fitoterapia wskazuje wprowadzić na jeżynę fałdowaną (*Rubus plicatus* W. et N.) jako gatunek surowcowy, natomiast na biwaku z powodzeniem możemy stosować też wszystkie inne. Niektóre oczywiście mogą mieć słabsze działanie lecznicze, jednak w większości przypadków i tak będzie ono wystarczające.



To właśnie w okrywających długie, często pokładające się pędy kolcach kryje się wspomniane przeze mnie niebezpieczeństwo. Zadane nimi rany potrafią goić się długo i nieprzyjemnie, skutecznie zniechęcając do przeprawiania się przez jeżynowe zasieki. Ma to też swoje plusy. Drobne zwierzęta już dawno odkryły, że tak zwane „czyźnie”, a więc wielogatunkowe zarośla współtworzone między innymi przez ostrężyny (jak zwie się jeżyny często na południu naszego kraju), zapewniają wysoki stopień bezpieczeństwa przed drapieżnikami. Zwłaszcza wiele ptaków chętnie zakłada w nich gniazda. Wielokrotnie obserwowałem, jak skryte w płataninie kłujących jeżyn, głógów, tarnin czy dzikiej róży, wielogatunkowe skrzydlate stadka reagują na zbliżające się zagrożenie. Przeciągają swe alarmujące okrzyki znacznie dłużej, niż gdyby znajdowały się w bardziej odsłoniętym miejscu. Nieraz mogłem niemal sięgnąć ręką takiego rozćwierkanego gąsiorka lub bliżej nieokreślonego gatunku pokrzewkę. Zapewne ptaki zdają sobie sprawę z ochrony jaką zapewnia im ten nieprzebyty, roślinny mur, dlatego pozwalają sobie na tak nonszalanckie zachowanie. Dla obozującego w terenie człowieka, także ma to pewne znaczenie. Czyżnie stanowią bowiem swoisty system alarmowy, informujący o nadchodzącym stworzeniu – wszystko jedno, czy będzie to lis, krowa czy człowiek, na pewno się o nim dowiemy wcześniej niż by tego chciał.

Jak to się nieraz zdarza i ludzie postępowali podobnie do zwierząt, wykorzystując dawniej jeżynowe krzewy do obsadzania miedzi i innego rodzaju granic, zabezpieczając się takim raniącym ciałem żywopłotem przed nieproszonymi gośćmi. Bliskość rośliny dawała jednak o wiele więcej korzyści, dlatego łatwo możemy ją odnaleźć w pobliżu siedzib ludzkich. Zarówno współczesnych, jak i już nieistniejących.

O wszechstronności zastosowania najlepiej zaświadczą spisane w XIX wieku słowa ks. Krzysztofa Kluka: „*Korzeń zaraz po zimie wykopany, w miodzie przasnym gotowany, ma być pomocny w kamieniu i*

wodnicy, wierzchołki gałązek w wodzie gotowane, są dobre na płókanie gardła opuchłego, do zażywania oraz jako tyzanny w gorących zgnitych febrach. Liście świeżo pogniecione mają być użyteczne na ślepą żółtą żylę, a woda z niem gotowana zewnętrznie na wrzody w nogach i psuicę się dziąsła, wewnętrznie na krwii plwanie. Jagody lubo są nieco cierpkie, wieśniacy one jednak iadaią: są chłodzące i zgniliłźnie się przeciwiające: różne się z nich robią przyprawy pomocne w gorączkach. Mąka z sokiem ich zmiészana i przypieczona, jest lekarstwem w bieguńkach. Jagody niedożyte ususzone, utłuczone, w wino wrzucone, przedni ocet czynią: Z dożyte zaś sok wytłoczony i wyroiony, daie trunek dobry, podobny do nieiakiogo wina. Latoroślki i liście zażywać się mogą pożytecznie od garbarzów do garbowania skór.” Niektóre ze wspomnianych zastosowań z powodzeniem zastosujemy w terenie.

Zacznijmy od „*płukania gardła opuchłego*”. Tradycyjne, jak i współczesne ziołolecznictwo stosuje bowiem liść jeżyny w nieżycie górnych dróg oddechowych. Najłatwiej w tym celu przygotować napar, to znaczy zalać garść rozdrobnionych liści litrem wrzątku i naparzać pod przykryciem około piętnastu minut. Tak sporządzonym preparatem płuczemy gardło kilka razy dziennie.



Jeżeli mamy więcej czasu, warto zrobić odwar z liści, gałązek, a nawet korzeni – około dwóch kopiatych łyżek drobno pokrojonego surowca zalewamy szklanką wody. Podgrzewamy do wrzenia i wolno gotujemy przez dziesięć minut. Zdejmujemy z ognia i odstawiamy na kwadrans. Taki mocniejszy wyciąg okaże się przydatny do przemywań w przypadku wszelkiego rodzaju swiądu, wypryskach, podrażnieniach skóry, lekkich skaleczeniach czy choćby trądziku. Natomiast jeśli borykamy się ze zwyrodnieniem stawów kolanowych przygotujmy z odwaru, zgodnie z zaleceniami dra Aleksandra Ożarowskiego, okłady na noc pod ceratką (bądź jakimkolwiek słabo przepuszczalnym materiałem). Odwar z młodych liści, tym razem z dodatkiem cukru,

pity trzy razy dziennie po szklance stosuje się pomocniczo w leczeniu anemii, co oznacza, że w trakcie wyczerpującej pracy czy wędrówki, okaże się dla nas znakomitym źródłem składników odżywczych. W składzie chemicznym liścia jeżyny (ale też innych części rośliny) na uwagę zasługuje wysoka zawartość potasu, żelaza i magnezu, a także cynku, wapnia, sodu, oraz znaczna ilość witamin: A, E, C, K i B₆.

Tradycyjnie po surowiec sięgano w przypadku biegunki i to już od starożytności. Takie zastosowanie pojawia się także w farmakopeach polskiej i europejskiej. Cytowany wcześniej ks. Kluk wspominał o przyjmowaniu mąki z sokiem z owoców jeżyny, warto jednak wiedzieć, że podobne działanie będzie miał proszek z suszonych owoców, czy wyciągi wodne z liścia, pędów bądź kwiatów (najlepiej i najszybciej będzie użyć wszystkiego naraz).



Działanie to wynika z obecności w całej roślinie garbników (nawet powyżej 10% składu surowca). To one odpowiedzialne są również za użyteczność w garbowaniu skór.



Kulinarnie najczęściej sięgamy po pojawiające się w sierpniu owoce jeżyny, z kolei już w kwietniu pojawiają się młode pędy o miękkich kolcach, które z powodzeniem dają się spożywać w zupach, sosach czy daniach jednogarnkowych, rzecz jasna po

wcześniejszym posiekaniu. Nie jest to wprawdzie rarytas, więc pełni raczej funkcję uzupełniającą w diecie. Ze swojej strony zachęcam do przygotowania smacznej herbaty według przepisu Władysława Biegańskiego. Poleca on zebranie jednej części liści malin, dwóch części liści poziomki i trzech części liści jeżyny, które jak sam pisze, należy potem „zmieszać, ułożyć na kupkę, okryć i fermentować do zbrunatnienia. Wysuszyć dokładnie, porząć w paski i zamknąć szczelnie.” Nic nie stoi na przeszkodzie, by proces fermentacji (a właściwie oksydacji) przeprowadzić w zakręconym słoiku.



Pędy jeżyn są dobrym materiałem powroźniczym. W zależności od dostępnego gatunku, warunków środowiskowych, pory roku i wykorzystywanej części pędu, wiązać można całymi pojedynczymi łodygami (po uprzednim usunięciu kolców i skróceniu łodygi w dłoniach), powróżkami ze skręconych ze sobą kilku pędów lub sznurkami z wypreparowanych z rośliny włókien. Zainteresowanych dokładną techniką wykonania takiego sznurka odsyłam do dwóch pierwszych numerów Biuletynu Surwiwalowego z 2019 roku, w których kolega Michał Krata, opisuje to w bardzo obrazowy i przystępny sposób.

Czy jeżyna jest typowym „zimowym” ziołem? Być może nie, jednak sądzę, że warto poświęcić jej w tym okresie nieco uwagi. Na wielu okazach zbieracie w styczniu zielone liście, a jeśli wam się poszczęści – także wysuszone, zmrożone ciemne owoce. Krzewy jeżyn są w Polsce powszechne, mają szerokie zastosowanie, a ich rozmiary i zajmowane przez nie rozległe powierzchnie powodują, że nietrudno je odnaleźć. To czyni je, moim zdaniem, podstawowym gatunkiem w roślinnym przyborniku każdego bushcraftera.

Zdjęcia autora lub wolna domena

Kontakt do autora: drzewiej.edu@gmail.com



Gąsówka fioletowawa (*Lepista nuda*)

Autor: Marcin Pempera SPSS WIELKOPOLSKA

W tym artykule chciałbym przedstawić miłośnikom outdooru, surwiwalu i bushcraftu kolejną ciekawostkę ze świata grzybów. Jest to grzyb jadalny i nawet bardzo smaczny, ale nie polecam go niedoświadczonym wielbicielom grzybów z uwagi na możliwość pomyłki z podobnymi grzybami trującymi. To jeden z moich ulubionych „dziwnych” lub mało znanych grzybów.

Oczywiście, niektórym grzybiarzom jest on dobrze znany, ale jest to raczej wąskie grono bardziej doświadczonych ludzi lub tych, u których jadało się takie grzyby od pokoleń w domu. Zawsze będę podkreślał, że jeżeli zaczynasz poznawać nowe gatunki grzybów, rób to pod okiem osoby doświadczonej i nie zbieraj grzybów, których nie jesteś pewien. Właściwy trening z rozpoznawania grzybów to gwarancja przetrwania. Uważam, że umiejętność rozpoznawania i przygotowywania grzybów jest jedną z dziedzin, które powinniśmy zgłębiać, jako ludzie związani z szeroko pojętym outdoorem, tak samo jak techniki rozpalania ognia, pozyskiwania i uzdatniania wody, czy innych technik przetrwania.

Mowa będzie o grzybie, którego barwa nie zachęca do zjedzenia go, jak również to, że posiada blaszki dodatkowo działające odstraszająco, ponieważ wielu ludzi najczęściej omija grzyby blaszkowe z daleka. Nic dziwnego, gdyż w „rodzinie” grzybów blaszkowych jest sporo tych trujących lub niejadalnych. Gąsówka

fioletowawa (zwana też gąską nagą), o której mowa, przybiera kolory w odcieniach fioletu kiedy jest młoda. Z czasem błednie, zmienia kolor na siny, szary, brązowy i mieszankę tych kolorów. Najbardziej intensywnie fioletowe są blaszki młodych owocników i wyglądają bardzo pięknie, efektownie, intrygująco.

Zapach gąsówki fioletowawej jest bardzo przyjemny (jeden z przyjemniejszych moim zdaniem), delikatnie owocowo-grzybowy. Czasami trudno jest określić zapach grzyba, ponieważ każdy ma swoją charakterystyczną nutę.



Za młodu kapelusz gąsówki fioletowawej jest okrągły, wypukły z podwiniętym do dołu brzegiem, ale z czasem kapelusz wypłaszcza się i brzeg zaczyna „falować”, przybiera bardziej nieregularny kształt.



Trzon tego grzyba jest pełny w przekroju, koloru fioletowego, pokryty charakterystycznymi włóknkami, a z czasem blednie jak kapelusz i blaszki.



Gąsówka fioletowawa może występować praktycznie w każdym rodzaju lasu. Znajduję ją zwykle pod dębami, bukami, sosnami, świerkami i nie tylko. Ogólnie, lubi miejsca, w których jest dużo ściółki, którą rozkłada. Okres występowania przypada od września do listopada, kiedy temperatury zaczynają spadać poniżej 17 °C i nie występuje jeszcze silny mróz. Ostatnie zimy nie należały do ostrych, więc zdarza się często, że zbieram gąsówki w okolicach Wigilii, a przy słabej zimie i odrobinie szczęścia możliwe jest, że trafimy te grzyby nawet o wiele później.

UWAGA!!!

Gąsówka fioletowawa jest grzybem, który koniecznie wymaga porządnej obróbki termicznej i nie wolno jej spożywać na surowo, ponieważ zawiera hemolizynę (toksynę powodującą hemolizę krwi). Hemolizyny powodują uszkodzenie czerwonych krwinek, co może prowadzić do anemii. Hemolizyny są toksynami termolabilnymi, czyli ulegają rozpadowi pod wpływem wysokiej temperatury i wtedy nie stanowią już zagrożenia.



Gąsówki fioletowawe zwykle przygotowuję podobnie jak inne grzyby czyli smażę, duszę, lub gotuję, ale także robię je w marynacie octowej. Grzyby smażę najczęściej na smalcu, szczególnie te, które wymagają dłuższej obróbki termicznej trwającej 15-20 min. Grzyby, które wymagają krótszej obróbki smażę na maśle. Gąsówki usmażone z cebulą i boczkiem są świetną bazą do jajecznic.

Nowo poznane grzyby spożywajcie w małych ilościach i obserwujcie reakcję organizmu. Oczywiście w warunkach survivalowych, bez tłuszczu i garów zostają tylko prymitywne metody gotowania w terenie (wielu z Was je oczywiście zna), o których na pewno będę jeszcze wspominał przy okazji kolejnych artykułów.

Zdjęcia autora



Zachęcam do zapoznania się z omawianym grzybem i życzę smacznego. Więcej zdjęć gąsówki fioletowawej znajdziecie na moim blogu: skazaninaoutdoor.pl

UWAGA! NIE JEDZ GRZYBÓW JEŻELI NIE MASZ 100% PEWNOŚCI, ŻE SĄ W PEŁNI BEZPIECZNE!



BRZOZA – drzewo leśnych ludzi

cz.2

Oskoła, czyli sok z brzozy

Autor: Mirosław Gerc SPSS ŚLĄSK

Każdej wiosny brzoza daje nam skarb – oskołę (*Succus betulae*), czyli sok z brzozy. Dzieje się tak, gdyż po zimie brzoza potrzebuje zastrzyku substancji odżywczych i soli mineralnych, które umożliwią jej między innymi rozwinięcie liści. W Polsce okres zbioru oskoły wypada zwykle od marca do kwietnia, ale jest to zależne od warunków pogodowych. Ogólnie zasada jest taka, że sok zbiera się zanim drzewo wypuści liście.

W Internecie znajdziecie mnóstwo artykułów na ten temat – jest to jeden z najpopularniejszych surowców zielarskich. Oskoła zawiera sole mineralne, cukry proste, aminokwasy, fenolokwasy i witaminy. Oskoła może stanowić naturalny napój izotoniczny, a po odparowaniu i zagęszczeniu soku można zrobić syrop brzozowy. Można sok z brzozy wymieszać ze spirytusem, tworząc nalewkę. Na Syberii podobno z oskoły robi się wino oraz bimbler – jak widać, potrzeba matkę wynalazców.

Osobiście jestem zwolennikiem pozyskiwania oskoły z gałęzi (najlepiej grubości palca). Taka metoda zbioru obarczona jest mniejszym ryzykiem infekcji drzewa niż w przypadku zbioru z pnia.



Cięcie powinno być wykonane ostrym narzędziem (najlepiej nożem), tak aby nie pozostawiać poszarpanej rany.

Cięcie najlepiej wykonać przy rozwidleniu, usuwając jedno z odgałęzień. W ten sposób sprawimy, że po zabliźnieniu rany, drzewo będzie transportowało składniki odżywcze do tej drugiej, nie uciętej przez nas odnogi.



Następnie wieszam na pozostawionym kikucie butelkę, którą przywiązuję nieco wyżej cięcia.



Zawiązuję na szyjce butelki wyblinkę (to jeden z najpewniejszych węzłów do takich celów).



Butelka, która zacznie napełniać się oskołą, z czasem obciąży gałązkę, co sprawi, że nie wyleje się jej zawartość. Czasem jednak trzeba zainstalować sznurek, który będzie dociągał gałąź ku dołowi.



Po zakończonym zbiorze docinam kikut tuż za rozwidleniem, wtedy rana goi się dużo lepiej.

Zdjęcia autora

Zapraszam do ciekawej lektury cyklu artykułów o naszych ptasich kolegach zza miedzy, którzy są obok nas. W tym miesiącu uszatka – sowa uszatka a więcej wiadomości o sowie i innych ptakach na stronie <https://jestemnaptak.pl/>



Sowa uszatka

Autor: Krzysztof Domarecki Organizator SURWIWALIÓW 2021

Sowy są wyjątkowe pod wieloma względami. Być może jednak najbardziej niezwykle jest to, że ktokolwiek zobaczy którąś z nich (na żywo lub na zdjęciu, prawdziwą czy nawet bardzo odległą od rzeczywistości kreskówkę), nie ma wątpliwości, że ma do czynienia z sową. Międzykulturowy, ogólnoludzki fenomen! Sowa uszata bez wątpienia spełnia wszystkie warunki archetypowej sowy.

Okrągła głowa z wielkimi, frontalnie położonymi oczami i niezwykle ekspresją, do złudzenia przypomina ludzką twarz. Do tego dziób, jak nosek, zabawne uszy, wyprostowana sylwetka, piękny rysunek na miękkich jak przysłowiowy jedwab piórach. I ten nieziemski spokój... Jej niezwykle cechy są jednak efektem doskonałego przystosowania do warunków i trybu życia raczej, niż emanacją magicznych mocy. (Co oczywiście nie oznacza, że ptaki te pozbawione są swojego czaru!).



I tak, ustawione do przodu oczy są charakterystyczne dla wszystkich wysoko wyspecjalizowanych drapieżników, bo umożliwiają pełną koncentrację na celu. W tym, przede wszystkim, precyzyjną ocenę odległości i zaplanowanie ataku. Wielkie oczy mieszczą więcej komórek światłoczułych, co bezpośrednio przekłada się na parametry widzenia. A skoro o tym mowa – to, że sowy doskonale widzą w nocy, bynajmniej nie oznacza, że nie widzą w ciągu dnia. Widzą co najmniej tak dobrze, jak większość innych ptaków. Wiedzą o tym wszystkie zwierzęta, na które sowy polują. Mrużenie w świetle dziennym ich wielkich oczu jest jedynie próbą lepszego wtopienia się w otoczenie.

Miękkie pióra zapewniają sowom wrażenie dużo większych rozmiarów oraz niespotykany nigdzie indziej, bezszelestny lub co najmniej bardzo cichy lot. To niezwykle cenne przystosowanie gdy lata się w nocy – gdy dookoła głęboka cisza i najmniejszy nawet

szmer nie umknie niczyjej uwadze, jak w tych warunkach namierzyć (a później zaskoczyć) cichutkie ofiary, jeżeli każdy twój ruch powoduje szelest, świst i jeszcze podmuchy wiatru? To wbrew pozorom charakteryzuje lot innych ptaków.) W każdym razie, to raczej słuch niż wzrok jest najbardziej wyostrzonym sowim zmysłem i z nim też związana jest szlara tworząca charakterystyczną sówią twarz.

Uszatki, tak jak wszystkie sowy, polegają na swoich maskujących barwach i rysunku na piórach. Gdy chcą wydać się niewidoczne – upodobnić do konara, na

którym siedzą – wciągają brzuchy, wyciągają ciała i wygładzają pióra. Gdy jednak kamuflaż nie zadziałał i zostały zdemaskowane, wówczas, w obliczu konfrontacji, zmieniają taktykę: przybierają najbardziej dziwaczne pozy, wybałuszają swoje i tak wielkie oczy, potrząsają głowami – albo stosząc pióra urastają do monstrualnych rozmiarów, próbując w ten sposób onieśmielić przeciwnika. Wydają przy tym nieziemskie okrzyki albo syczą i kłapią dziobami. Spektakl jest na tyle zaskakujący i straszny zarazem, że wielu śmiazków rzeczywiście się wycofuje – prawdopodobnie sądząc, że mają do czynienia z kosmitą. Jeśli jednak i to nie pomoże – zostaje ucieczka. Albo atak. A sowy to odważne i dobrze uzbrojone ptaki. Ich główną bronią są bardzo silne nogi zakończone długimi, ostrymi jak igły pazurami, które z łatwością tną skórę i zagłębiają się w ciele ofiar lub wrogów. Znane są też z wyjątkowo silnego uderzenia z jakimi spadają na swoje ofiary – lub wrogów. Gdy sowa wielkości uszatki spada na mysz, to tak jakby na człowieka ważącego ok. 80 kg spadło 12 ton!



Sowy to istoty ze wszech miar niezwykle i bodaj żadne inne nie budzą takich emocji wśród wszelkiego stworzenia, nie wyłączając ludzi. Większość z nich wybrała więc noc za swój dzień. I trudno dziś powiedzieć, co było przyczyną, a co skutkiem. Dość jednak, że wszystkie dzienne zwierzęta wpadają w swoisty amok na widok sowy. Nagle cała okolica jednoczy swoje siły! Nawet tradycyjni wrogowie oraz

drapieżniki i ich ofiary – dosłownie wszyscy – wspólnym frontem ruszają przeciwko sowie, która udając na sówią modłę niewidoczną, przysiadła gdzieś na gałęzi. Ataki i mobbing trwają dopóty, dopóki sowa nie odleci. Czasem i to nie wystarcza, bo cały orszak małych dręczycieli rusza za nią. Gdy wreszcie sowa się gdzieś schowa, podniecone ptaki (i wiewiórki) jeszcze długo nie mogą się uspokoić. Taka jest niezwykła moc uszatek i innych sów.



Tam gdzie przesiadują sowy dostrzeżemy też charakterystyczne, owalne wypluwki – czyli zwracane przez ptaki niestrawione części pokarmu. Znajdziemy w nich małe czaszki, inne kości, sierść, pióra, łuski i wszelkie nieprzyswajalne części zwierząt, które sowa połknęła. Sowy w zdecydowanej większości połykają swoje ofiary w całości. Oczywiście z wyjątkiem tych przypadków, kiedy złowiły zdobycz za dużą na jeden raz.

Uszatki zamieszkują pół świata: od Maroko, europejskich wybrzeży Atlantyku i Skandynawii na Wschodzie aż po Pacyfik i dalej Amerykę Północną. Ptaki z północnych areałów na zimę lecą w cieplejsze rejony. Niektóre nawet 4 tysiące kilometrów. Znane są z gromadnych, zimowych noclegowisk. W dobrych lokalizacjach widuje się sejmiki do 100 ptaków. Przy czym, jak przystało na nocnego łowcę, uszatki śpią w ciągu dnia.

Krajobrazem uszatki są rzadkie lasy, pola i łąki z zagajnikami, stare parki, sady i ogrody, gdzie najchętniej poluje na gryzonie. Zajmuje ukryte w gęstwinie drzew, odpowiednio duże, gniazda innych ptaków – srok, wron, jastrzębi. Rzadziej osiedla się w dziuplach czy budowlanych niszach. Polską populację szacuje się na 8-25 tysięcy par lęgowych.

Najstarsza znana nam uszatka przeżyła 27 lat i 9 miesięcy.

Do zobaczenia na szlaku!

Ps. Już w marcu mamy jedyne takie wydarzenie w Polsce jak "Noc Sów" - przyłączmy się do niego <https://nocsow.pl/>

Zdjęcia autora lub wolna domena



MELONTOOLS



Paweł MELON Chrzęstek

Inżynier materiałowy, bibliofil, erudyta, fascynat stali, noży i latarek.

Z Pawłem Chrzęstką (**MELON**) rozmawia Marian Wyrzykowski (**BS**).

BS: Kiedy i jak zaczęła się Twoja przygoda z mikronarzędziami?

MELON: Rok 2012. W drugim kwartale 2012 roku znajomy z forum <http://knives.pl> poprosił mnie o zrobienie kluczy do śrub: małych, mocnych, nietypowych. Nie miałem wtedy aktywnego hobby, ponadto jak to z Polakiem bywa: Co ja nie zrobię! Podjąłem się wykonania dla niego narzędzi. W sumie to cała historia, później się już potoczyło. Pierwsze narzędzia wyprodukowałem w 3 kwartale 2012 roku, działają do dziś.



BS: Skąd czerpiesz pomysły, inspiracje dla swoich narzędzi?

MELON: W przypadku narzędzi użytkowych: klienci przychodzą z wymaganiami, ja je ubieram w kształty. Najczęściej otoczenie: kształt samochodu, motocykla, logo danej firmy, zespołu muzycznego, inspiracją może być cokolwiek.



BS: Jak wygląda proces tworzenia projektu i wykonanie tooli?

MELON: Jeśli rysuję na podstawie istniejącego wzoru, np. logo:

- rysuję logo w programie Cadowskim,
- ustalam wielkość: doświadczenie noszenia żelastwa w kieszeni się przydaje :),
- wstawiam otwieracz do butelek (jest w prawie każdym pocket toolu), to obowiązek wobec lubiących piwo!
- wstawiam narzędzia: klucze do śrub, łomy, śrubokręty, magazynki na bit 1/4'
- dzielę rysunek na dwie części: kształt zewnętrzny, otwory itd, oraz grawerunek laserowy,
- najczęściej nie wykonuję prototypu, chyba, że sobie klient wina,
- stal jest wstępnie obrabiana cieplnie w celu uzyskania na samym końcu dużej ciągliwości,
- palenie laserem obrysu zewnętrznego i otworów,
- gratowanie, obróbka wibrościerna,
- obróbka cieplna właściwa.
- kontrola wymiarów, gniazd śrub, szlifowanie łomów,
- obróbka cieplna końcowa,
- grawerunek laserowy,
- uzbrajanie w kółka, oringi, bity.

BS: Skąd wzięła się nazwa Twojej firmy?

MELON: Mój nick na budo.net.pl, później na knives.pl to Melon. Proste połączenie nicka z narzędziami.

Jestem utylitarny, zawsze.

BS: Masz swój ulubiony MELONTOOL?

MELON: Tak. Najładniejszy: gitara Johnn'y Silverhanda. :)



BS: Co oprócz narzędzi wykonujesz?

MELON: Wykonuję różne zamówienia specjalne, takie jak:

a) Noże do rzucania.

b) Toporki monolityczne. Toporki do rzucania monolityczne. Siekierki monolityczne.

c) Ostrza do najłżejszych czekanów na świecie: Eliteclimb. Głowice młotków wspinaczkowych dla Eliteclimb

d) Kuchenki składane survivalowe. Stalowe i tytanowe. Na życzenie zamawiającego z logo firmowym. Wyprodukowałem Pierwsze seryjne kuchenki składane w Polsce wyprodukowałem dla survivaltech.pl. W tej chwili robię kuchenki dla: Bushcraftowy.pl, Polishcustomknives.pl, swiatprepersa.pl, naostrzu.pl, kolba.pl

e) Preparat do ochrony przed odwęgleniem i utlenieniem stali podczas obróbki cieplnej: MelonKote850.

f) Urządzenie do utwardzania powierzchniowego metali metodą ESD: Melondizer.

g) Narzędzia dodatkowe do Leathermana. Które można umieścić w gnieździe na bity.

h) Taktyczne grzebień dla brodaczy



Oprócz projektowania i wykonywania różnych narzędzi, zajmuję się doradztwem i szkoleniami z obróbki cieplnej, jestem spawalnikiem i czasem sprowadzam wysokiej jakości stal na noże.

BS: Czy każdy może zamówić u Ciebie narzędzie lub spersonalizowaną kuchenkę?

MELON: Tak, wszystko jest funkcją ilości i ceny.



BS: Czy Twoja praca łączy się z pasją?

MELON: Moja praca to pasja. Firma Melontools płaci moje rachunki. :)

BS: Jakie masz inne pasje?

MELON: Moje zainteresowania to obróbka cieplna, techniki wytwarzania, stal w każdym aspekcie. Książki, szczególnie SF. Czasem film. Zbieram noże, w szczególności marki Benchmade. Interesuję się latarkami i polecam szczególnie te, na ogniwa zasilające 18650, jako najbardziej wydajne z dostępnych.

BS: Jakie masz plany na najbliższy czas?

MELON: W najbliższym czasie pojawią się większe kuchenki survivalowe.

Jestem w trakcie wprowadzania na rynek nowej suplementacji diety. :)

BS: Bardzo dziękuję za rozmowę :)

Zachęcamy do zapoznania się ze stroną melontools.com:



Fanpage na FB:



Blog Melontools:





leave no trace

zasady etyki outdoorowej



**1. Zaplanuj i przygotuj się
zanim wyruszysz.**

**2. Trzymaj się szlaków i biwakuj
w odpowiedni sposób.**



3. Zadbaj o odpady i śmieci.

**4. Zastaną przyrodę, pozostaw
w stanie nienaruszonym.**



**5. Minimalizuj skutki używania
ognia!**

**6. Respektuj życie dzikich
zwierząt.**



**7. Szanuj innych użytkowników
terenu i szlaku.**



www.surwiwal.edu.pl

BAŁWANEK

Autor: Marian RADAR Wyrzykowski SPSS MAZOVIA

Zima, to czas śniegu, sanek i lepienia bałwanów. Przez ostatnie lata zima nas nie rozpieszczała białym puchem. W tym roku trochę już było śniegu i udało się nawet ulepić bałwana... Bałwan to jeden z symboli zimy.

A co zrobić, jeśli nie ma śniegu, a bardzo chcemy zrobić bałwana? Możemy wykorzystać kasztany, żołędzie do złożenia własnego malutkiego bałwana. Będziemy potrzebowali kilku kasztanów lub żołędzi, wykałaczki lub cienkie patyczki, ziarnka pieprzu, scyzoryk szwajcarski, pistolet na klej termotopliwy i klej termotopliwy.



Zaczynamy od zrobienia małej dziurki na szczycie największego kasztana, w drugim kasztanie robimy podobną na samym dole i na górze, a w najmniejszym kasztanie lub żołędziu robimy dziurkę na dnie.



Łączymy je wykałaczką bądź patyczkiem. W środkowym kasztanie robimy po bokach otworki i wciskamy tam wykałaczki, to są ręce bałwana.



Możemy też zrobić miotłę z wykałaczki i kawałka sznurka. W głowie naszego bałwana z przodu robimy mały otwór szydłem scyzoryka i wkładamy tam spiczasty kawałek wykałaczki – to będzie nos bałwana.



Takiego bałwana możemy pomalować białą farbą i czarnym markerem zrobić mu oczy i guziki. Jeśli nie mamy farby, oczy i guziki możemy przykleić na klej termotopliwy. Takim bałwankiem możemy się cieszyć cały rok, bo mamy pewność, że w cieple nam nie stopnieje.

Zdjęcia autora



SPSS TUTAJ DZIAŁAMY



Zakończenie

Miejski surwiwal, to temat, który trudno opisać. Zaczyna się w sposób nagły, nieprzewidywalny, gdy zostajemy wyrwani z własnej strefy komfortu, dającej nam bezpieczeństwo. Trudno się przygotować na coś takiego, trudno przewidzieć taką sytuację. A może być różnie...

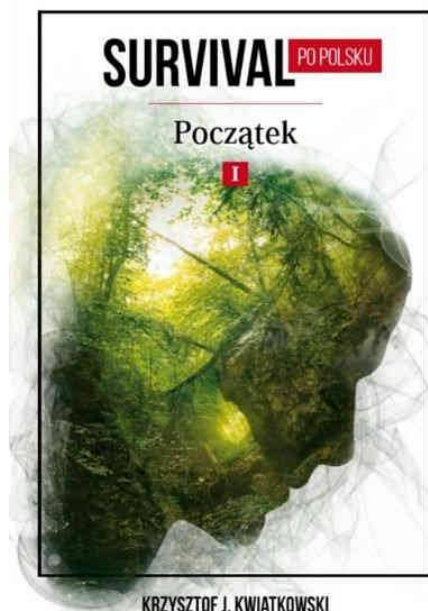
Niedawno mój kolega opowiadał o sytuacji, która mu się przydarzyła. Wrócił do mieszkania i nagle zgasło światło, próbował włączyć bezpiecznik, ale to nie pomogło, bezpieczniki na klatce schodowej były sprawne. Poszedł do sklepu, kupił świeczkę i zapalki. Zszedł do piwnicy, przyniósł sobie butlę gazową (butla 5kg) i kuchenkę. Wieczór spędził przy palących się świecach, a na kuchence przyrządził sobie kolację. Elektryk przyszedł kolejnego dnia i naprawił awarię, a kolega zaopatrzył się w zapalniczkę, świeczki, latarkę i baterie na przyszłość. A co by było, gdyby tego zrobić nie mógł? Nie byłoby w pobliżu sklepu?

Jest zima, słyszy się w wiadomościach, że została zerwana trakcja elektryczna... 50 tysięcy domów nie ma prądu. Dziś prąd zasila niemal wszystko, nasze komputery, dekodery, pompy wody, grzejniki, lodówki, pralki, telefony itd. Bez prądu trudno nam się odnaleźć. Czy mieszkańcy tych domów, są na to przygotowani?

Elementem miejskiego surwiwalu jest też przygotowanie się na różne sytuacje, które możemy przewidzieć. Apteczka, gaśnica, różne źródła światła (świeczki, latarki), uszczelki, taśmy naprawcze, podstawowe narzędzia (choćby multitool), ważne dokumenty zeskanowane na nośnik elektroniczny (pendrive), naładowany powerbank, to podstawowe przedmioty które powinniśmy mieć w domu i nawet po ciemku do nich trafić. Do tego mały zapas żywności z długim terminem przydatności do spożycia, wodę.

Dziś miejski surwiwal został zdominowany preppingiem (o którym pisaliśmy w marcowym numerze BS), zapraszamy zapoznać się z nim. Prepping to przygotowywanie się na różne sytuacje i można powiedzieć, że jest częścią miejskiego surwiwalu, który jest o wiele szerszy. W 1994 roku, w Polsce pojawiła się książka Jacka Pałkiewicza „Sztuka przetrwania w mieście”, w której autor przedstawił szereg sytuacji które mogą nas zaskoczyć, pomimo upływu czasu, są one nadal aktualne. Warto sięgnąć po tę jak i inne lektury dotyczące miejskiego surwiwalu.

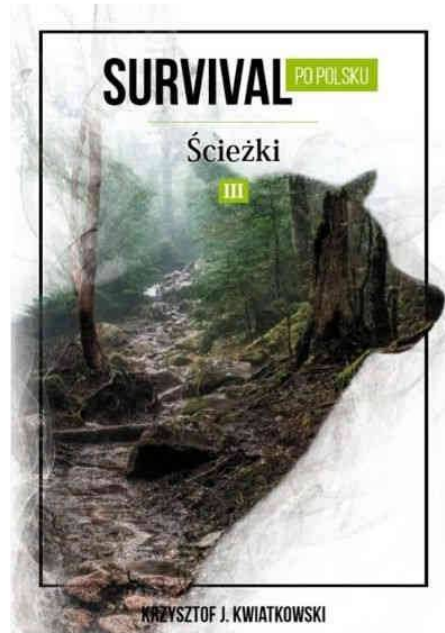
**Z (leśnymi) pozdrowieniami -
Marian RADAR Wyrzykowski**



KRZYSZTOF J. KWIATKOWSKI



KRZYSZTOF J. KWIATKOWSKI



KRZYSZTOF J. KWIATKOWSKI

”

Szczerze uznanie dla Krzysztofa
za spersonalizowanie tajników sztuki przetrwania.

Jacek Pałkiewicz

KRZYSZTOF „KRISEK” KWIATKOWSKI



Pedagog, pedagog uliczny. Ma 24 letnie doświadczenie w pracy pedagogicznej w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym. Wykładał metodykę resocjalizacji oraz „survival w wychowaniu” na Uniwersytecie Łódzkim, a także kadrę Wyższej Szkoły Pedagogicznej; wykładał zasady survivalu na warszawskiej AWF; szkolił instruktorów survivalu w ramach Polskiej Akademii Sportu. Posiada uprawnienia do prowadzenia socjoterapii, jest instruktorem ratownictwa.

Zainteresowanie survivaliem przyszło wraz z rozpoczęciem zawodowej pracy resocjalizacyjnej. Od ponad 30 lat organizuje survivalowe obozy oraz bytowania o każdej porze roku – dla dzieci i dorosłych.

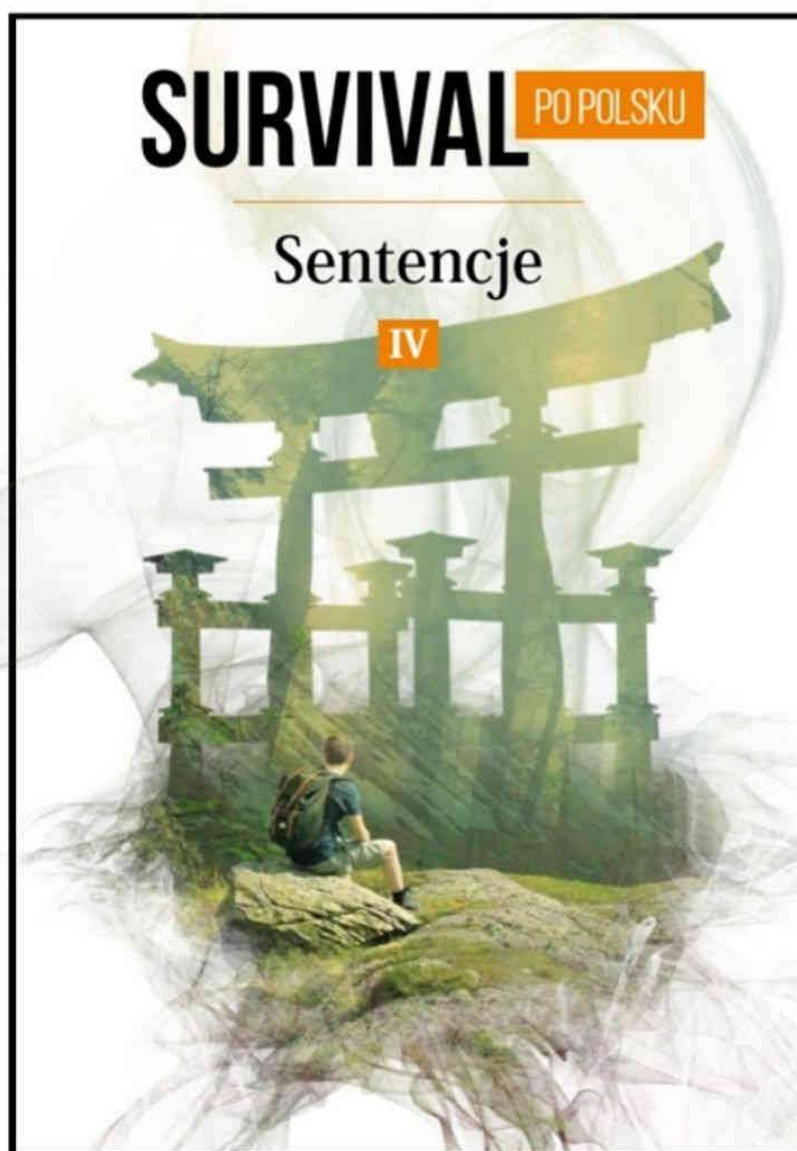
Założyciel Stowarzyszenia Polska Szkoła Survivalu.



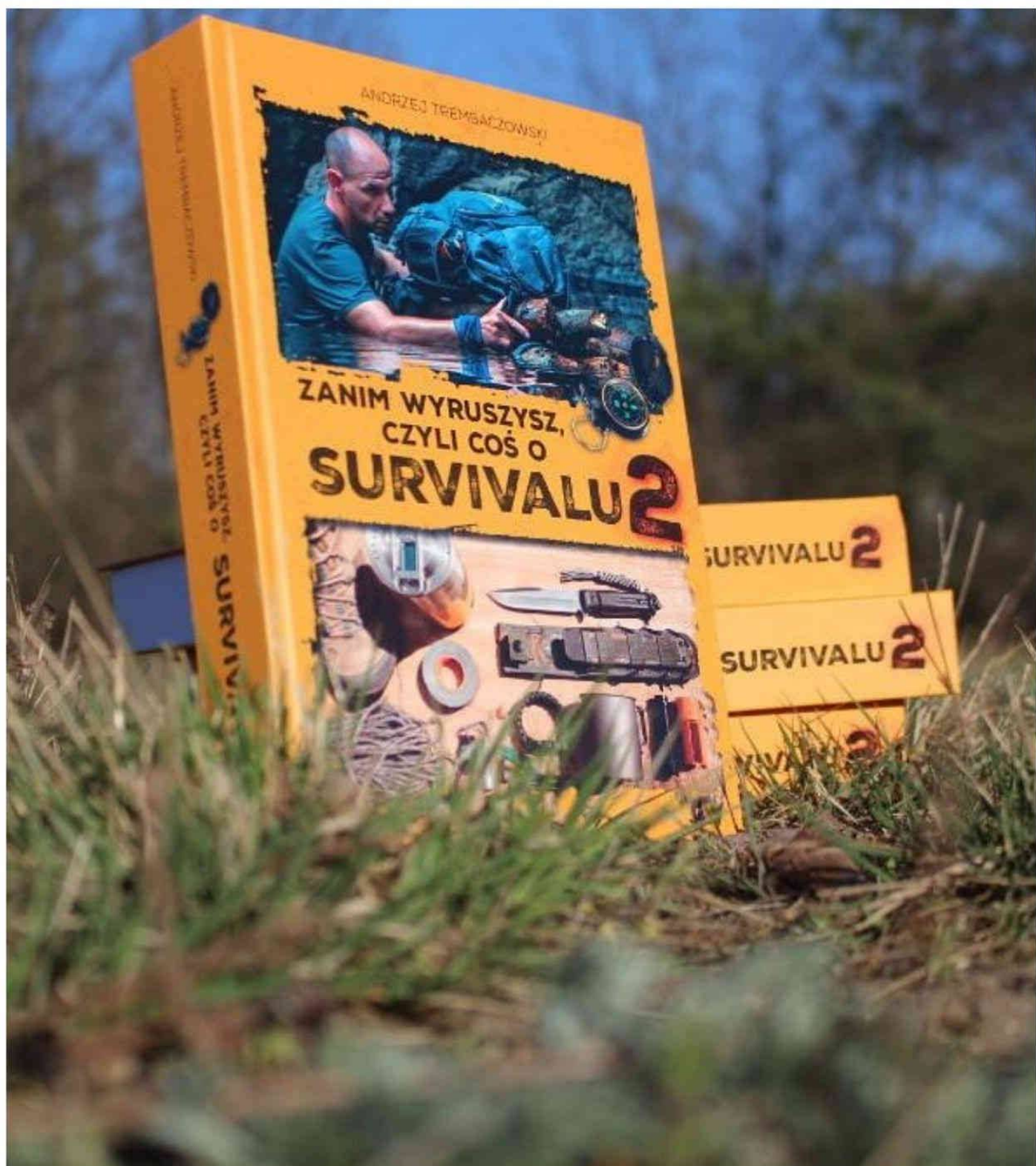
SZUKAJ
KOLEJNYCH
KSIĄŻEK Z SERII
SURVIVAL
PO POLSKU



SURVIVAL PO POLSKU
SENTENCJE
Wkrótce



KRZYSZTOF J. KWIATKOWSKI



Andrzej Trembaczowski
Zanim wyruszysz, czyli coś o survivalu 2



STOWARZYSZENIE POLSKA SZKOŁA SURWIWALU

Tworzymy wspólną przestrzeń dla wszystkich
miłośników sztuki przetrwania



KILKA SŁÓW O NAS...

Doskonale wiemy jak ważną rzeczą w codziennym życiu jest zaufanie. Tylko z właściwym partnerem warto podejmować wyzwania i realizować założone cele. Wzajemne zaufanie to gwarancja sukcesów na wielu płaszczyznach życia. Dlatego pragniemy przybliżyć Państwu nasze Stowarzyszenie, tak aby ewentualna współpraca przyniosła jak najdalej idące korzyści.

Stowarzyszenie Polska Szkoła Surwiwalu powstało 18 grudnia 2010 r. w celu stworzenia wspólnej przestrzeni dla tych wszystkich, którzy czują swoje zainteresowanie i związek ze sztuką przetrwania. Zakres naszej działalności jest ukierunkowany prospołecznie i obejmuje szerokie spektrum tematyczne. Warto tu wymienić nasze zaangażowanie w rozwój multiwiedzy z zakresu sztuki przetrwania, rozwój metodyczny instruktorów i trenerów outdooru, kształtowanie postaw proekologicznych, prowadzenie działalności społecznie użytecznej w sferze nauki, edukacji, oświaty, wychowania i resocjalizacji, prowadzenie szeroko rozumianej działalności proedukacyjnej, promowanie aktywnego i zdrowego trybu życia i wiele innych.

Swoje cele realizujemy głównie poprzez organizację i prowadzenie spotkań szkoleniowych, warsztatów, kursów, treningów, wypraw, zgrupowań, obozów, konferencji, sympozjów oraz współpracę z organizacjami oraz instytucjami zarówno z sektora państwowego jak i prywatnego. Możemy też pochwalić się sporą kadrą instruktorską o wysokich kwalifikacjach. Wypracowane przez nas standardy i metodyka są gwarancją jakości. Od 2018 roku jesteśmy oficjalnym partnerem Center for Outdoor Ethics - Leave No Trace.

Stowarzyszenie Polska Szkoła Surwiwalu jest liczącą się marką i gwarancją najwyższych standardów.



Więcej informacji znajdziesz na naszej stronie - www.surwiwal.edu.pl



2018 PARTNER

SURWIVALIA 2020

**CZARNY DUNAJEC
CZERWIEC 2021**

ORGANIZATOR:



PARTNERZY:



Gmina Kościelisko



Gmina
Czarny Dunajec



SPONSORZY:



QUINOX



TO
MIEJSCE CZEKA NA
TWOJĄ REKLAMĘ
INFORMACJĘ O TWOJEJ
DZIAŁALNOŚCI

NAPISZ

DO NAS

biuletyn@surwiwal.edu.pl

BIULETYN SURWIWALOWY

BEZPŁATNE CZASOPISMO CZŁONKÓW SPSS

Numer 13/2021, (15)

Warszawa 2021

Wydawca:

STOWARZYSZENIE POLSKA SZKOŁA SURWIWALU

Adres wydawcy:

Stowarzyszenie Polska Szkoła Surwiwalu

ul. Nowoursynowska 154A

02-797 Warszawa

surwiwal.edu.pl

Redakcja

Marian Wyrzykowski - redaktor naczelny

Sergiusz Borecki

Izabela Andryszczyk

Paweł Frankowski

Michał Kowalczyk

Współpraca

Andrzej Trembaczowski

Kamil Czapiel

Wojciech Nowakowski

Michał Krata

Bartosz Tyc

Bartłomiej Cichoń

Maciej Żmijewski

Przemysław Gawroński

Adam Boguta

Wojciech Jasewicz

Michał Miernik

Krzysztof Domarecki

Mirosław Gerc

Marcin Pempera

biuletyn@surwiwal.edu.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, przechowywanie lub wprowadzanie do systemu wyszukiwania, dystrybucja w jakiegokolwiek formie lub za pomocą jakichkolwiek środków (elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających, i innych) bez wcześniejszej zgody wydawcy lub autorów jest zabronione.

Wszystkie informacje zawarte w artykułach mają charakter ogólny. Nie zastępują pełnej wiedzy i umiejętności ani fachowego doradztwa w dziedzinach o których informują. Autorzy i wydawca nie ponoszą odpowiedzialności za skutki działań wynikających bezpośrednio lub pośrednio z wykorzystaniem informacji zawartych w niniejszej publikacji.

Bardzo proszę o dużą ostrożność przy wykonywaniu wszelkich prac manualnych przy pomocy: nożyczek, nożyków, lutownicy, pistoletu na klej termiczny i innych narzędzi.

Grafika na okładce Marian Wyrzykowski inne SPSS

Niektóre grafiki zrobione przy pomocy serwisu CANVA, na wolnej licencji.



**CUSTOM
BLADES.eu**

DAMAST

ARTYKUŁY DO WYROBU NOŻY

damast.com.pl

info@damast.com.pl